Rok 1901. Lwów, 31. Marca Nr. 13.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.



Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

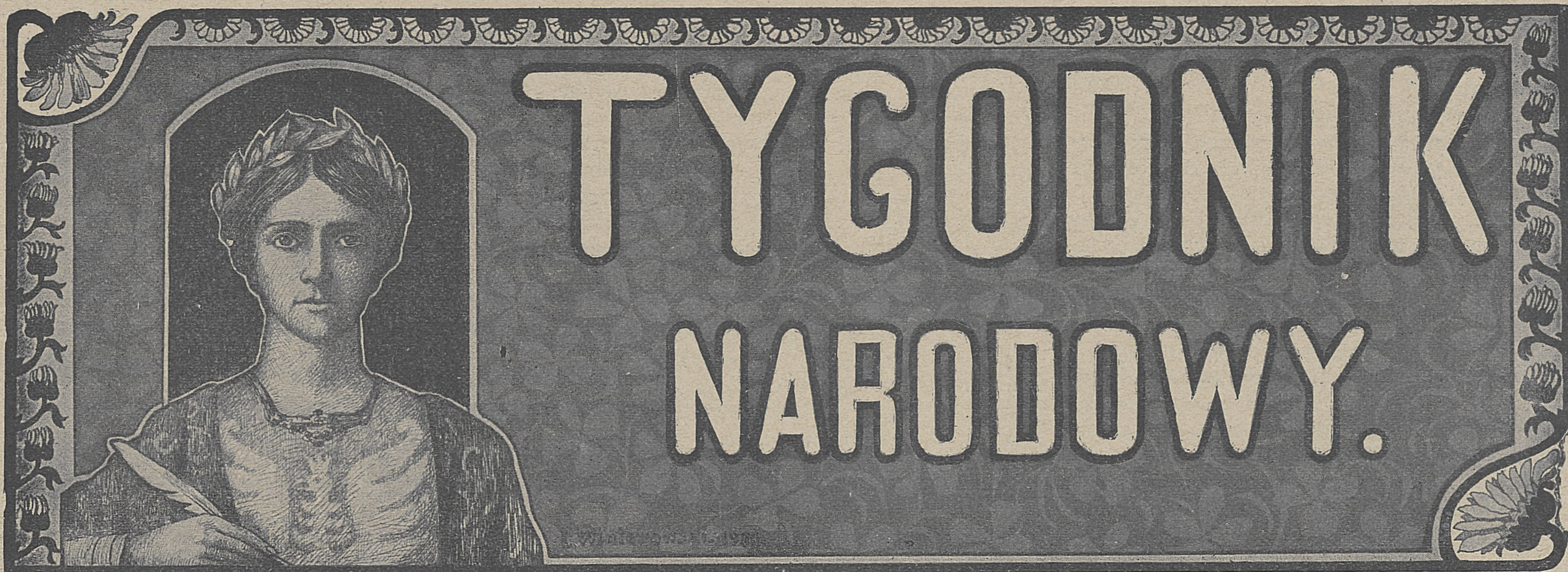


Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 31. marca. Nr 13.



Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 13:

Polityczne plotkarstwo.

Młodoczesi słyszą od pewnego czasu, jak trawa rośnie, i dowiadują się rzeczy, o których ani nawet nie śniło — najbliżej interesowanym. Wcale niedawno główny organ tego stronnictwa rozgłosił zadziwiającą a najzupełniej mylną wiadomość o „spisku" wśród żołnierzy polskich w VI korpusie armii niemieckiej. Obecnie mamy do zaznaczenia nowe odkrycie, niemniej zdumiewające i nie mniej niedorzeczne. Mianowicie zaś Koło polskie w Wiedniu oświadczyło rzekomo ministrowi spraw zagranicznych, hr. Gołuchowskiemu, że nie pochwali na wspólnych delegacyach jego polityki i wystąpi przeciw odnowieniu trójprzymierza, jeżeli minister nie postara się o to, aby rząd pruski obchodził się sprawiedliwiej z Polakami.

Rzecz dziwna, z jaką łatwowiernością młodoczesi biorą za rzeczywistość każdą plotkę, która zgadza się z ich pragnieniami, i jak mało znają reprezentacyę Galicyi, do której poznania mieli przecież w ciągu długoletniej wspólnej pracy w radzie państwa i po za nią dość sposobności. Wiadomo, że Polacy w Galicyi nie zachwycali się nigdy bardzo trójprzymierzem, a sympatye ich do tego sojuszu nie powiększyły się, odkąd rząd pruski wypowiedział swoim poddanym polskim walkę eksterminacyjną. Ale od antypatyi do Prusaków i trójprzymierza do próby zerwania sojuszu, i takiego kroku, o jakim donoszą pisma młodoczeskie, bardzo daleko; nie dlatego że krok taki nie zgadzałby się z pragnieniem reprezentacyi galicyjskiej, ale ponieważ byłby najzupełniej bezowocną, a nieobliczoną w swych skutkach manifestacyą.

Niepodobna, aby Czesi, którzy są bardzo bystrymi politykami, nie mieli tego wiedzieć. Nie może być wcale mowy o tem, aby minister jednego państwa wmieszał się do spraw wewnętrznych obcego a potężniejszego i mógł wywrzeć jakikolwiek wpływ na postępowanie obcego rządu. Na to nie pozwalają sobie nawet wiele potężniejsze Niemcy wobec Austryi. Wszelka, nieuzasadniona wspólnemi stosunkami i interesami politycznymi próba wmieszania się do spraw pruskich naraziłaby austryackiego ministra spraw zagranicznych na bardzo kategoryczny protest, a napewno nie naprawiłaby doli Polaków w Poznańskiem i na Górnym Szlązku. Rzecz oczywista, że Prusy, doświadczywszy w tym wypadku, jakie wpływy posiadają Polacy w Austryi, tem więcej staraliby się o to, aby obezwładnić ludność polską w obrębie własnego państwa. Sprawę taką możnaby poruszyć w sposób bardzo ostrożny, mimochodem, tylko podczas układów, dotyczących odnowienia sojuszu. Układy zaś takie nie toczą się obecnie i nie będą się toczyły przed zebraniem wspólnych delegacyi.

Ale idźmy dalej. Przypuścimy, że wiadomość pism czeskich jest prawdziwa, hr. Gołuchowski zrobi rządowi pruskiemu odpowiednią uwagę i otrzyma odpowiedź odmowną; to co w takim wypadku może zrobić Koło polskie? Co najwyżej zaprotestować we wspólnych delegacyach przeciw istnieniu i odnowieniu trójprzymierza, tak samo, jak to czynią z innych powodów młodoczesi. Ale protest ten nie będzie miał żadnego znaczenia praktycznego. Chociażby nawet Węgrzy nie byli tak serdecznymi przyjaciółmi Prusaków i fanatycznymi zwolennikami trójprzymierza i przez swoje uchwały nie utrudniali rządowi centralnemu zerwania sojuszu, to Przedlitawia w czasie bliższym nie odstąpiłaby od swojej dotychczasowej polityki zagranicznej. W Radzie państwa bowiem Polacy i Czesi stanowią mniejszość, a większość tworzą Niemcy, którzy wyrzekliby się prędzej zbawienia duszy, niż związków politycznych z cesarstwem niemieckiem. Trójprzymierze jest dla nich nietylko kwestyą polityki zagranicznej, ale przedewszystkiem podstawą wpływów w państwie. Dopóki więc nie zmieni się stosunek stronnictw i narodowości w przedlitawskiej Radzie państwa, wszelka próba lub groźba zerwania trójprzymierza będzie tylko manifestacyą, która zrobi potężne wrażenie w Europie, ale nie wyda skutków praktycznych.

I Koło polskie, które nie odważyło się nawet na stanowcze wystąpienie w obronie gimnazyum cieszyńskiego, aby nie rozbudzić na nowo walki narodowościowej i nie wywołać nowego zamętu w parlamencie miałoby nagle wystąpić z manifestacyą najzupełniej chybioną, a bardzo niebezpieczną? Nie podobna, żeby młodoczesi mieli być tak naiwni, aby w to wierzyć. Powtarzają poprostu wyssaną z palca wiadomość, bo to jest wodą na ich młyn, może zaniepokoić Niemców, a narodowi czeskiemu dodać otuchy i zachęty do dalszej walki, wywołując mniemanie, jakoby tym razem nie sami tylko Czesi mieli wystąpić przeciw znienawidzonemu trójprzymierzu. Bo to nie ulega wątpliwości: sojuszu z Niemcami Czesi na spółkę z Kołem polskiem nie rozbiją — są do tego zbyt słabi; ale występując przeciw niemu konsekwentnie i energicznie, osłabiliby wiarę w jego trwałość, przygotowywaliby jego upadek i skłoniliby przez to może rząd i Niemców do ustępstw narodowych dla Czechów. Rozsiewanie wiadomości, które niepokoją Niemców, ma ułatwić osiągnięcie tego celu.



TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wobec odmownej odpowiedzi gabinetu na prośbę Koła polskiego o przyjęcie gimnazyum w Cieszynie na budżet państwowy, rozwinięto w Galicyi bardzo ożywioną agitacyę, aby skłonić Koło do energicznego wystąpienia i wywalczenia ustępstw. Na czele ruchu stanęło obywatelstwo Tarnopola i ogłasza odezwę, w której wzywa do zwoływania zebrań, uchwalania petycyi do posłów i zbierania jak największej liczby podpisów. Idzie o to, aby dać Kołu możność wykazania, że upaństwowienia gimnazyum cieszyńskiego domaga się nie drobna tylko grupa ludu, lecz całe społeczeństwo.

„Nie prosimy o łaskę — oświadczają w swojej odezwie Tarnopolanie — lecz żądamy sprawiedliwości. W Księztwie Cieszyńskiem jest 220.000 Polaków i 43.000 Niemców. Dla piątej części mieszkańców niemieckich utrzymuje rząd 2 gimnazya w Cieszynie i w Bielsku, 2 szkoły realne w tych samych miastach, szkołę przemysłową w Kocobędzu i seminaryum nauczycielskie w Cieszynie. Dla pięćkroć liczniejszej ludności polskiej niema ani jednej szkoły średniej z ojczystym językiem wykładowym".

Społeczeństwo polskie w Ks. Cieszyńskiem jakkolwiek ubogie, zdobyło się na ogromną ofiarę, założyło gimnazyum polskie na koszt własny i otrzymuje je od lat kilku. Ale fundusze kończą się, i nie wystarczają już na utrzymanie szkoły nawet przez rok jeden.

„Niebezpieczeństwo aż nadto blizkie, czas ostatni do ratowania zagrożonej placówki tego źródła, z którego całe masy ludności naszej na Śląsku mają czerpać wiedzę i narodowe wychowanie. Sposobniejszej pory trudno wyszukać. Kiedy dzisiaj przedstawiciele innych ludów umieją zdobywać dla swoich krajów przeróżne korzyści, reprezentacya nasza, która zawsze miała na oku dobro państwa i wysługiwała się bezinteresownie innym stronnictwom, z pominięciem zdrowego egoizmu narodowego, nie zdołała dotąd z pośród licznych i koniecznych postulatów kraju, nawet tej jednej sprawy doprowadzić do pomyślnego skutku. Nie dozwalajmy tylu ofiarom iść na marne, nie opuśćmy dzieła w połowie na wieczną hańbę i nienagrodzoną szkodę imienia polskiego. To się nam należy. Bez względu na drobne waśni stronnicze, bez uwagi na różnice polityczne, stańmy jak mur twardo i nieugięcie przy tem sprawiedliwem narodowem żądaniu i nie opuszczajmy rąk, póki dzieła nie doprowadzimy do końca.

„Nie wątpimy ani na chwilę, że w każdem mieście, w każdej gminie, gdzie brzmi polski język, znajdą się ludzie dobrej woli, którzy sprawę wezmą do serca, zwołają zgromadzenia, odniosą się bezzwłocznie do swoich posłów, zwołają wiece ludowe i postarają się o zebranie jaknajwiększej liczby podpisów na przygotowaną petycyę".

* * *

W parlamencie niemieckim, który zakończył już swe przedświąteczne obrady, skrzyżowali przed odroczeniem posiedzeń kanclerz państwa hr. Bülow i mały spadkobierca wielkiego imienia, książę Herbert Bismark, szermiercze szpady. Ten ostatni zauważył krytycznie, że kanclerz w swojej ostatniej mowie, poświęconej Chinom, fałszywie nazwał kwestyę chińską „kwestyą życia" (*Lebensfrage*) dla Niemiec, na co hr. Bülow odpowiedział niezwłocznie, że jakkolwiek i on jest zdania, iż punkt ciężkości interesów niemieckich leży w Europie, pomimo to wielkie interesy handlowe i prawa Niemiec na dalekim Wschodzie muszą być należycie zabezpieczone.

Dzienniki niemieckie w lekkiem tem i niekrwawem zetknięciu się dwóch ludzi upatrują pewne ciekawe strony. Naprzód godny jest zaznaczenia sam już ten fakt, że syn pierwszego kanclerza Niemiec zauważył w polityce czwartego kanclerza pewne odstępstwo od programu, wytkniętego przez ojca księcia Herberta — zdaniem rodziny Bismarków — na całe wieki. Powtóre: oryginalne jest spotkanie się w odrazie do polityki azyatyckiej wyobraziciela najskrajniejszego aż do światoburczej negacyi posuwającego się, przedstawienia wolnomyślności niemieckiej, p. Eugeniusza Richtera. Młodszy Bismark, powołujący się w obronie ściślejszej polityki swojego ojca na powagę największego jego przeciwnika — to także zjawisko oryginalne na tle 30-letniego jubileuszu parlamentu niemieckiego!

* * *

Zmowa robotników portowych w Marsylii, która nie obchodziła szerszego świata, dopóki miała swój zwyczajny robotniczy tylko charakter, nabrała w ostatnim tygodniu znamion politycznych i wywiera już wpływ na ogólne położenie wewnętrzne rządu i kraju. Nie o ruchu więc samym, ale o następstwach jego mówić potrzeba.

W obozie republikańskim panuje dziś już niezłomne przekonanie, że ruch jest sztuczny, że wywołano go ze strony monarchiczno-nacjonalistycznej celem obalenia rządów p. Waldeck-Rousseau. Widać to po wielkich zasobach materyalnych, jakiemi rozporządzają strejkujący. Chodzi widocznie organizatorom o rozszerzenie bezrobocia portowego na wszystkie gałęzie pracy. Największemu portowi Francyi grozi przesilenie, bankructwo.

Błoky zamierzony w izbie deputowanych sojusz stronnictw monarchiczno-zachowawczych z socyalistami dla obalenia gabinetu nie powiódł się, nacyonaliści spróbowali sojuszu z samym proletaryatem. Zmowy obecne w Marsylii i w Montceau-les-Mines są narzędziem walki politycznej. Izba deputowanych ma już tylko cztery artykuły prawa o kongregacyach do uchwalenia. Nie dziw, że stronnictwa, upatrujące w przyjściu ustawy do życia nieszczęście dla Francyi, czynią największe wysiłki, aby obalić rząd, a z nim niefortunną ustawę.

Jeżeli w najkrótszym czasie gabinet Waldeck-Rousseau nie upadnie, nastąpi konfiskata setek milionów majątku zakonnego, nad którego zgromadzeniem pracowały w świątobliwym nastroju wieki i pokolenia. Tylko jakiś przypadek może już dzisiaj ocalić kościół francuski przed katastrofą.

* * *

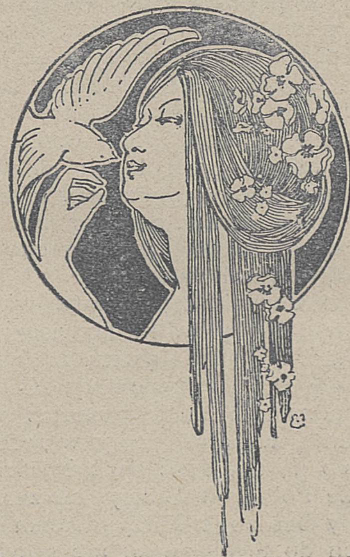
Od trzech tygodni naród angielski łudzi się nadzieją, że naczelny dowódca Boerów, gen. Ludwik Botha, podda się nareszcie Kitchener'owi, a tem samem skończy się nareszcie wojna afrykańska.

Nareszcie po trzech długich tygodniach nadeszła wiadomość stanowcza: Układy rozbiły się, Botha nie podda się „jeszcze" gubernator Milner opuścił Pretoryę i powrócił na południe. Co się stało? czy układy toczyły się rzeczywiście, jaki był ich przebieg, dlaczego się skończyły na niczem? — zapytywano z niepokojem. Ależ nie, wiadomość była mylna, układy toczą się dalej i może jeszcze doprowadzą do zawarcia pokoju — odpowiadają wtajemniczeni. Reszta pozostała nadal tajemnicą.

Ale z mroku, którym władze angielskie otoczyły tę sprawę, można wydobyć przynajmniej kilka faktów. Wiadomość, że Botha był osaczony i zdecydowany na kapitulacyę była błędna. Znaczy to, że roztrąbione na wszystkie strony wielkie powodzenie Kitchner'a i French'a było co najwyżej udanym manewrem, a nie zwycięztwem.

Niepodobna wątpić, że toczyły i toczą się układy. Ale o „kapitulacyi" niema tam mowy, tylko przywódcy dwóch potęg zbrojnych i pełnomocnicy dwóch rządów porozumiewają się z sobą w sprawie zawarcia pokoju, pożądanego dla obu stron.

Z wszystkiego tego wynika: 1) że wielka, otoczona tajemnicą akcya Kitchener'a przeciw Bocie i De Wet'owi — obok których zresztą stoi jeszcze bardzo ruchliwy i szczęśliwy wojownik Dalarey — nie powiodła się; 2) że Anglicy są już bardzo znużeni walką, ale jeszcze nie do tyla, aby mieli już zrzygnować ze swoich pierwotnych zamiarów, politycznego i ekonomicznego opanowania republik boerskich. Podobnie ma się rzecz z Boerami. I oni mają dość tej wojny, nie żądają już niepodległości, ani nawet tych praw, które posiadali przed wojną; ale nie zwątpili jeszcze tak dalece, aby mieli zadowolić się samym tylko powrotem do swoich ferm, a zresztą wyrzec się swobód i praw obywatelskich. Od miary ich znużenia i wyczerpania zależeć będzie wynik układów. Wobec znanego przebiegu wojny i oddziaływania jej na wewnętrzne i zewnętrzne stosunki angielskie, nie ulega żadnej wątpliwości, że jeżeli Boerowie zdołają się bronić ostatecznie i energicznie jeszcze przez czas dłuższy, to wojna nie skończy się wprawdzie zwycięztwem, ale też nie bezwarunkową niewolą.



Anna Neumanowa.

Czary i zjawiska pustyni egipskiej.

(Ciąg dalszy).

Dążąc z Turry do Kairu nie potrzebujemy powracać do Helnanu, ale dostać się możemy do miasta wprost przez pustynię; jestto jednak trudząca i niebezpieczna droga; bez przewodników przebyć ją trudno, gdyż jako jedyny drogowskaz służą tu ślady osłów i wielbłądów. W pustyni Libijskiej piramidy i grobowce wskazują poniekąd kierunek, tu zaś wstępujemy z doliny na wzgórze, ze wzgórza znów w dolinę, przestrzeń dokoła wydaje się nieskończoną, nigdzie śladu niema, łatwo więc zmylić kierunek i zbłądzić; dlatego też Arabowie tę stronę pustyni zowią: „Doliną błądzeń“. Dolina, ta okolona skał łańcuchem, zajmuje obszar kilkunastu wiorst i prowadzi do skamieniałych lasów, które są jedną z tajemniczych zagadek pustyni. Zdania geologów o ciekawem tem zjawisku są dotychczas podzielone: jedni utrzymują, że drzewa te uniesione zostały z gór Abissynii gwałtownym prądem wód pędzących ku morzu i w dolinach złożone; drudzy znów są zdania, że lasy te rosły w tymże miejscu, gdzie je dziś widzimy i dopiero przez trzęsienie ziemi i wybuchy „gejzerów“[1]), to jest gorących źródeł, obalone i skrystalizowane zostały. Bądź co bądź widok tych lasów może być nader zajmującym dla geologów, co do mnie jednak, to przyznać muszę, iż doznałem tu niemiłego rozczarowania. W wyobraźni przedstawiałam sobie owe lasy, jakby w baśni czarodziejskiej; tymczasem ujrzałam przed sobą kilkadziesiąt pni wcale nie wielkich, rozrzuconych w piaskach; wydają się one podobniejsze do szczątków zdruzgotanych kolumn, niż do drzew i gałęzi. Trzeba istotnie wziąć w rękę te odłamy, zważyć ich lekkość i przypatrzeć się z bliska ich przeszłości, aby je od zwykłych kamieni rozróżnić.

Pni wrosłych w ziemię nie dojrzałam nigdzie, mówiono mi, że największe z nich przewiezione zostały do Kairu dla ozdoby książęcych ogrodów.

Pustynia arabska sięga aż po same bramy i mury Kairu, a jednym z najwyższych jej szczytów jest potężne wzgórze Mokattam, o które wsparte są i jakby wkopane w skałę olbrzymie, ciemne, ponure mury cytadeli Kairu.

Wspaniała ta budowa niewzruszoną opoką wparta w łono pustyni, czuwa po dziś dzień nad ukochanym przez Allaha grodem Kalifów i strzeże granic tej pustyni, co była odwiecznym gościńcem Azyatów.

Jeśli z Helnanu przez dolinę błądzeń schodzimy z wyżyn arabskiej pustyni ku równinom Delty, mury i baszty cytadeli kairskiej ukazują się nam nagle, jak czarodziejskie zjawisko. Miasta nie widać wcale, gdyż kryje się ono za skałami Mokattamu; ujrzeć je można dopiero ze szczytów; od strony zaś wschodniej cytadela góruje nad pustynią cichą, ku Azyi wiodącą. Więc też nie dziw, że widok tej szerokiej, bezbrzeżnej drogi budzi przed naszemi oczami cały szereg wspomnień historycznych: zdaje się nam, że widzimy owe zgraje semickich Hiksosów, pędzące ku bogatym w ziarna wybrzeżom Nilu, i znów hufce Kambizesa, co parte podboju żądzą, białe ofiar kości, jak drogowskazy, powstają w pustyni, a wreszcie plemiona bitnych Arabów, zatykające zwycięzką chorągiew proroka na gruzach i grobach Egiptu.

Pod skałami Mokattamu znajdują się szerokie kamieniołomy, tworzące, jak gdyby sale wspaniałe i tajemnicze groby; gromady szakali i sępów stada obrały je sobie za mieszkanie. Czasem dojrzeć tu można i zbłąkaną gazelę, albo usłyszeć wycie zgłodniałej hyeny. Widok ze szczytów skały przepyszny szczególniej, gdy zachodzące słońce powodzią swych blasków obraz ten oblewa. Całe wzgórze wtedy zdaje się zasiane rubinami, gdyż liczne odłamy kryształu skalnego i kwarcu błyszczą i mienią się wśród fal żwiru, rozgrzane pożarem dnia gorącego. Dokoła od wschodu i południa pustynia cicha, martwa, nieruchoma, a nad nią noc błękitna z wieńcem srebrnych, drżących promieni dziwną tworzy sprzeczność z jaskrawym obrazem Delty i Kairu, który u podnóża Mokattamu ze szczytów cytadeli ukazuje się z setkami swych wierzyc sztucznych, z chaosem swych gruzów i ulic, wijących się, plączących, jak gdyby w arabeskowym rysunku, tworzącym dziwną ale miłą dla oczu harmonię.

Skały Mokattanu tworzą odnogę tego łańcucha gór, które sięgają do Czerwonego morza po granice Azyi szczytem Dżeb—el—Ałłaka. Geologiczna formacya gór tych należy do okresu eoceńskiego, a w ławach muszlowych i skamieniałościach Mokattamu znaleść można często zęby skamieniałe morskich potworów, zwane przez Arabów „L i z a n — e l — Gebel“ czyli: Języki góry. Przypisują im Arabowie różne czarodziejskie własności.

Wzgórze Mokattam ma też i w dziejach arabskich swoją kartę niestety niezbyt wesołą. Na tem to bowiem wzgórzu przepędzał długie godziny sułtan Tatymida el - Hakem, którego kronikarze arabscy opisują, jak drugiego Nerona. Kalif ten należał do sekty Darar t. j. reformatorów Islamu. Pragnął on zabawić się w proroka, dla tego też codziennie o świcie dążył samotnie na Mokattam i tam, jak głosił, miewał widzenia i rozmowy z Bogiem, niby Mojżesz drugi. Wydawał też coraz nowsze prawa i rozporządzenia. Zakazał n. p. zupełnie kobietom nawet zasłoniętym wychodzić z domu i śmiercią karał szewców, którzy się poważyli sporządzać obuwie kobietom

W końcu szaleństwo jego przybrało miarę; sam ogłosił się Bogiem i na cześć swoją kazał podpalić Kair, a ze szczytu meczetu, który zbudował, przypatrywał się z radością płomieniom obejmującym miasto. Lud arabski służalczy, a tchórzliwy znosił długo i cierpliwie krwawe jarzmo, aż wreszcie rodzona siostra Kalifa, przeznaczona niego na śmierć wraz ze swym kochankiem skazana, zdołała przekupić siepaczy, którzy zamordowali El-Hakema w chwili, gdy o brzasku dnia dążył na szczyt Mokattamu (1021 r.). Dotychczas pokazują Arabowie czarne plamy na skale, mające być śladami krwi obłąkanego despoty.

Kiedy powoli, nie bez trudu, co krok zapadając w głęboki piasek, zjeżdżaliśmy na osiołkach naszych ze szczytu Mokattamu, ujrzałam nagle przed sobą kilka grubo ociosanych głazów i dół głęboki, wmurowany w skałę. Przewodnicy pospieszyli z objaśnieniem, że jest to grób Faraona. Rozśmialiśmy się na te ich słowa, nie przypuszczając ani na chwilę, aby ta skromna, pustelnicza mogiła, po wschodnim brzegu Nilu w arabskiej pustyni ukryta, mogła być grobowcem dumnego półboga dawnego Egiptu. W istocie grobowiec ten kryje zwłoki sułtana Tuluna, który założył gród El-Katajeh w miejscu, kędy w 100 lat później powstała Kahira czyli Kair.

Władca ten należał do rzędu tych pierwszych muzułmańskich kalifów, którzy nie łzami i trudem, ale szczęściem swych poddanych się wzbogacili.

Mogiła jego cicha, bez ozdób, ukryta wśród piasków pustyni, nie żąda ni podziwu ni wspomnienia.

Spokoju za to nie brak jej tutaj, bo gwary dalekiego miasta nie dolatują w to ustronie.

Na jednym ze szczytów Mokattamu wznoszą się, jak już wspomniałam, ponure mury cytadeli Kairu. Olbrzymia ta budowa jest dziełem Salah-el-dyna z r. 1170 a raczej emira jego Bohad-el-dina. Krwawą znać pracą i mieniem własnem okupił lud arabski koszta tej budowy, gdyż em ra tego przezwano czarnym ptakiem: Karakucz.

Według pierwotnego planu mury cytadeli okalać miały całe miasto, do budowy zaś fortów użyto dawnych gruzów i ostatnich szczątków zburzonego Memfis.

To też zwiedzając cytadelę przy podstawie jednej z wierzyc, spostrzegłam odłamy granitu, pokryte hieroglifami wmurowane między głazy budowy.

Ale zatrzymajmy się na chwilę w murach starożytnej cytadeli, przebudowanej niegdyś przez Francuzów w r. 1800; pierwszym gmachem, który nam w oczy zdala już wpada, jest meczet Mehmeta Alego z r. 1830. Budynek to nowy, niezgrabny, lśniący białością swych marmurów i alabastrów, zakończony dwoma smukłymi minerałami, które nad całym Kairem górują. Meczet ten nie przypomina wcale lekkiej, a wdzięcznej saraceńskiej architektury, gdyż jest dziełem Turków, którzy, jak wiadomo, pojęcia o sztuce nie mają. Jednakże Arabowie dzisiejsi, u których zmysł piękna również zanika, pysznią się tym gmachem, a to z powodu przepychu i bogactw, nagromadzonych w tej świątyni. Ściany jej pokryte są alabastrem, posadzka wyłożona dywanami, a wielkie złote świeczniki ciężkie i niezgrabne, zastąpiły miejsce dawnych, sztucznie odlanych z metalu latarń i lampionów.

Wszystko tu nowe i błyszczące, ale zimne, martwe i powszednie, nawet ten pałac dumnego mocarza, ale nie dom Boży, przeznaczony na cichą, pokorną modlitwę.

U wejścia do świątyni zwyczajem arabskim, w podwórzu nie osłonionem, ale okolonem rzędami marmurowych i alabastrowych kolumn znajduje się wspaniały

[1]) Patrz: Frass „Geologische Bilder aus dem Orient“.

wodotrysk, naprzeciw zaś umieszczono niezgrabną wieżyczkę, a w niej zegar „rococo" — dar Ludwika Filipa dla pogromcy Mameluków. Arabowie chlubią się tym podarkiem, niby cudem jakim, powtarzając z dumą, iż przysłał go do Egiptu imperator Zachodu. Trzeba wiedzieć, że lud arabski nie ma dotychczas dokładnego pojęcia, z ilu mocarstw składa się Europa.

W pobliżu meczetu Mehmeta wznosił się niegdyś pałac Saladyna, zwany dywanem Jussufa. Arabowie, mieszając pojęcia i daty, opowiadają, że pałac ten zbudowany został dla biblijnego Józefa, gdy tenże najwyższych zaszczytów dostąpił w Egipcie. Wspaniałe staroegipskie kolumny, arabskie napisy i gzemsy tej budowy podziwiano jeszcze w początkach tego stulecia; w ruinach tych złożono jednak składy prochu, które explodując zamieniły w kupę gruzów ten nabytek rycerskich wieków.

Jedyną pamiątką po Saladynie pozostałą, jest studnia na 100 metrów głęboka zwana Bir-Jussuf (bo Saladyn nosił imię Jussufa). Studnia ta podzielona jest na 3 piętra; woda zaś z piętra na piętro przechodzi zapomocą koła, obracanego przez bawoły.

Istnieje też o studni tej śliczna legenda arabska. Oto raz w roku w dniu wielkiego Bajramu, o wschodzie słońca ukazuje się nad tą studnią ptaszę, które znika w głębi przepaści i po chwili powraca, niosąc w dziubku błyszczącą kroplę wody. Kto w dniu tym ptaszynę ową schwycić zdoła i z dzióbka jej kroplę rosy spije, ten na wieki uleczony zostanie z nieszczęśliwej miłości.

Nie mogłam niestety przekonać się sama o skuteczności tej wody, podaję tylko do wiadomości rodaków i rodaczek ową legendę, chcąc zachęcić zakochanych do odbycia pielgrzymki.

Długie godziny błąkać się można w cytadeli, w labiryncie ponurych, cichych uliczek, wśród ciemnych wąwozów i kamiennych przepaści, skromnemi ścianami otoczonych.

Krwawe widma arabskich dziejów zmartwychwstają w tych murach. Straszne to dzieje — krew plami każdą ich kartę; krew dość jeszcze świeża, bo w początkach naszego stulecia przelana, gdy dumny Mehmet Ali, pragnąc ugruntować potęgę swoją, zwabił podstępem 400 książąt mameluckich do cytadeli i wszystkich w pień wyrznąć kazał, a tymczasem w pałacu swoim przez czas rzezi spokojnie popijał czarną kawę.

Jeśli ze szczytów cytadeli spojrzymy w stronę, skąd przybyliśmy tj. na pustynię arabską, spostrzegamy tam, tuż pod bramą miasta zwaną Bab-el-Naszer (brama zwycięstwa), niewielką dolinę pokrytą gruzami, z pośród których wznosi się kilka przepysznych minaretów i kopuł arabskich, wabiących zdala oko zręcznemi rzeźbami, jakby haftami z kamienia. Jest to t. zw. „Dolina grobów" — cmentarz sułtanów Mameluków. Arabowie przywykli nazywać te grobowce mogiłami Kalifów, choć nazwa ta jest niesłuszną, gdyż panowaniu Kalifów położył koniec Saladyn już w r. 1171. Groby zaś wspomniane pochodzą z XIV i XV stulecia, tj. z czasów panowania Mameluków.

Ruiny tych grobowców nie są otoczone murem, ale tak jak wszystkie cmentarze arabskie niedbale rozrzucone wśród piasków pustyni; ani drzewa ani krzewu tu nie ujrzysz, coby cieniem chłodził kamienie mogił; tylko tłumy odartych arabskich dzieciaków harcują swobodnie na ohalonych kolumnach i sypiących się gzemsach. A jednak grobowce Mameluków należą niezaprzecznie do najpiękniejszych arcydzieł saraceńskiej architektury i do najbardziej zajmujących zjawisk pustyni. Trudno słowami oddać wdzięk i przepych ich ozdób, których odłam każdy zdaje się być wypieszczonym ręką artystów rzeźbiarzy. Niestety żadna siła w świecie nie zdoła ocalić od zniszczenia tych cennych arcydzieł, chociaż ostatnimi czasy zawiązało się w Egipcie stowarzyszenie, przeważnie z Niemców złożone, mające na celu odbudowanie i ochronę od zniszczenia pomników architektury arabskiej. Nie wiem jednak, czy grobowce Kalifów w całości zachowane, budziłyby tak silne wrażenie, jak dziś budzą ich ruiny, nad któremi pustynia hymn pogrzebu nuci i gdy każdy ich kamień zdaje się płakać wspomnieniem minionych dni chwały.

Groby Kalifów zajmują przestrzeń niewielką pomiędzy Mokattamem a drugiem wzgórzem, zwanem przez Arabów Dżebel Achmar tj. czerwoną górą, z powodu rudej barwy kamyków i numulitów tworzących to wzgórze, które zdala w istocie zupełnie krwawą, kolorową ma barwę. Kształt góry, jakoteż formacya jej geologiczna zdradzają, że była ona niegdyś wulkanem, albo też z łona jej wybuchały gejzery.

(Dokończenie nastąpi).



P. Vigné d'Octon.

LI-HUN-WAI.

SZKIC Z CYKLU p. t. „MARTYRS LOINTAINS".

Zorza wieczorna bladła, gdy gruchotanie turkawek w „mangrowiu"[1]) zwolna ustawało. Księżyc w całym swojej pełni majestacie ukazywał się na dalekim horyzoncie Dżungli, a małpy spóźnionymi wrzaski napełniały lasy tamaryndowe. — Na polach zasianych ryżem poruszało się coś od oddechów dzikich zwierząt; nocny wietrzyk potrząsał trzciną bambusową...

W tajemniczym blasku nocy azyatyckiej dziwnie odbijała się strażnica Tai-Koung, położona nad brzegiem spokojnego Arroyo; najdalej wysunięta to placówka Toukingu, gdzieśmy o każdą piędź ziemi krwawe walki z krajowcami staczać musieli. Dopiero wczoraj podstępnie zdobyli w pobliżu położony posterunek Mau-Ping i załogę bezlitośnie wymordowali.

W tej to dziwnej nocy stał na warcie przed bramą strażnicy strzelec bystrooki Li-Hun-Wai. Nadsłuchiwał uważnie, nieruchomie wpatrzony w niedostępne dżungle, na opodal płynącą Arroyo nie zwracał zbytniej uwagi, gdyż i tak wody swe pocichu toczyła, a ciszę tą przerywało chyba tylko ćwierkanie owadów w zaroślach...

Lecz oto zabłysły w dali, tam gdzie jest „miasto umartych", gdzie przodkowie wiecznym snem śpią, blade światełka a nocny wietrzyk doniósł mu echo monotonnie śpiewanych litanii. Bo to był ostatni dzień „święta umarłych" — Teatu[1]) — którym rozpoczynają w Chinach rok anamityczny, a mieszkańcy Tai-Kuong — wyznawcy Konfucyusza i wielkiego Buddy — zgromadzają się po raz ostatni przy grobach swych przodków, hojne składając im ofiary.

Smutek owładnął biednym Li-Hun-Waiem. Od szeregu lat, ilekroć powiew wiosenny rozchylił pęki Hu-ki — rośliny śmierci, — opuszczał on wszystkich i wszystko, byle tylko na grobach przodków spalić wedle mody buddaistycznej amulety i ofiarować na stosie kury z Kambodży...

A teraz gdy go życie obozowe zawiodło w rodzinne jego strony, nie mógł po raz pierwszy wypełnić swoich obowiązków, nie miał możności złożenia przodkom należnej czci i hołdu. — Od czasu rzezi w Man-Ping strzegła dniem i nocą Tai-Kuong warta. Opuszczenie posterunku w tej chwili pociągało za sobą karę śmierci...

* * *

Aby ból swój ukoić, starał się zahypnotyzować w ten sposób, że bystro a nieruchomie wpatrywał się w jasne drogi świętojańskich robaczków — hen daleko krążących w zaroślach — i wkrótce uczuł senność i zmęczenie. W tej chwili przypomniał sobie historyę przyjaciela swego Lu-Manga, która grozą swą do szpiku kości go przejęła. Lu-Mang, stojąc na warcie w taką samą noc azyatycką, zasnął i został przez tygrysy rozszarpany.

Zdawało mu się, że w tej chwili zobaczył w kierzu[1]) pręgowane ciała, a źre-

[1]) roślina azyatycka.

[1]) dzień zaduszny.

[1]) plantacya bawełny.

nice ich złowrogimi błyski się mieniące na polach ryżowych...

Podniósł karabin do strzału, lecz ręka ociężała nie zdołała go w tej wysokości utrzymać. Rozległ się stuk kolby o ziemię w ponurej ciszy i rozpędził przykre widmo. I począł się zziębnięty Li-Hun Wai tam i napowrót przechadzać, gdyż mu chłód rosy nocnej dokuczał.

Wkrótce przestraszył go jego własny cień, długi i tajemniczy... Rozgorączkowana fantazya stworzyła sobie nowe marzenie... Oto zdało mu się, że krok w krok postępują za nim dusze jego dziada Li-Hu-Tschinga i jego ojca Li-Hun-Monga, i bezdźwięczną mową wyrzucają mu jego niesłychaną zbrodnię.

Li-Hung-Tsching mówił:

„Wai, zimno jest pod nagrobkiem, gdy go pamięć żywych nie ogrzeje".

A Li-Hun-Mong dodał:

„Wai, słup pod którym spoczywam, już chwast obrasta a stonogowiec z granitu wyrasta w paszczę smoka".

Odwrócił Li-Hun-Wai głowę i spojrzał na księżyc, który podobny do „gonga" w pagodzie, wisiał w przestworzu...

* * *

Nieskończenie powoli mijały godziny a coraz wyraźniejsze szarzenie oznaczało stopniowe zbliżanie się poranku.

Przed zmęczonymi oczyma poczynały się powoli przesuwać palmy na brzegu, jak ongis pochód pogrzebowy przodków jego, a coraz żałośniejsze ich skargi i narzekania mieszały się z jednostajnym pluskiem Arroyo. One to wszystkie kląły go za jego niewdzięczność, a w ich głowach brzmiały gorzkie wyrzuty, zapomnianych już umarłych...

Następnie przemówili do niego Li-Hun-Tsching, jego dziad i Li-Hun-Mong jego ojciec, którzy za życia byli poważanymi bardzo kupcami z nad „czerwonej rzeki".

Aby serce jego wzruszyć, opowiedzieć mu przebieg całego jego życia, począwszy od dnia, w którym matka jego Ta-Ma-Jo, córka Fa-Ma-Nas, w tej samej właśnie wsi Tai-Kuong, której okrągłe chatki, słomą przykryte, odzwierciedlają się w nurtach rzeki, na świat go wydała.

„Wai", tak mówili do niego, „czy pamiętasz dnie twojej minionej młodości, kiedyśmy cię na naszych wędrówkach po wązkich ścieżynach między polami ryżem zasianymi ze sobą brali, w ów dzień, kiedyśmy na łodziach obładowanych miodem, woskiem, gumą i opium z pędem Arroyo w dół płynęli?... Czyś zapomniał o naszych podróżach do Siamu, Laos, Kiam-Ptisaek i Baugkok, skądeśmy ołów, miedź i kardamon brali? O jak bardzo uważaliśmy, aby cię ze snu nie zbudzono, gdy podczas jasnych nocy przy blasku gwiazd i pieśniach flisaków usypiałeś!...

„Wai! O mały Wai! Kto był ten, który wtajemniczył cię w mistyczne praktyki Buddy? Kto uważał na ciebie, podczas twoich zabaw, gdyś na grzbiecie nieokiełzanego bawołu harcował po równinie? Kto uczył cię na antylopy polować, sieci na ryby zastawiać, patroszyć je i zasolić, aby sporządzić Nuok-Mam? Wamały Wai! Byliśmy wtedy bogaci i szczęśliwi, posiadaliśmy murowany dom w Taii Kuong, stada bawołów i najpiękniejsze plantacye bawełniane"...

I głosem, który brzmiał jak kwilenie pantery, opowiadali oni, jak przez wojnę ich handel zniszczony został, jak wszystko co uszło chciwości korsarzy, wpadło w ręce mandarynów, jak zmartwienie dziadka Tschinga o śmierć przyprawiło, a syn jego za nim w świat zmarłych postąpił...

„Wai! ty godnie znosiłeś twoją niedolę", kończyli obydwaj „a wspomnienie o przodkach twoich zachowałeś nadal w swojej pamięci".

Zamilkli. A Li-Hun-Tsching znowu przemówił:

„Gdyś został chłopcem u francuzkiego oficera, opuściłeś służbę twego Pana, zaledwie się taet rozpoczął".

Li-Hun-Mong zaś dokończył:

„Później szedłem za twoim cieniem, gdy grzbiet twój uginał się pod ciężarami, które nosiłeś na sobie. Gdy atoli nadszedł dzień, w którym się zmarli objawiają, natychmiast w porcie Saigon zaprzestałeś swojej roboty, a ja odprowadziłem cię na cmentarz".

Umilkli. Jeden zaś z pradziadów się odezwał:

„Ja ci towarzyszyłem, gdyś jako majtek na jakimś siamskim okręcie odpływał; lecz gdy nasze święto nadeszło, opuściłeś żeglarzy i przybiegłeś tu, by ciało i duszę w źródle wspomnienia skąpać i orzeźwić". Li-Hung-Wai drżał. Karabin wyślizgnął mu się z drzących rąk i znowu rozległ się w ponurej ciszy nocnej stuk kolby o ziemię. Rzucił Wai strwożone spojrzenie na drzemiącą strażnicę, a ze swojem buddaistycznem usposobieniem fanatycznem stoczył ostatnią zaciekłą walkę. Widział groźnie odbijający się cień na wałach — był to słup, pod którym niedawno poległ bystrooki Phu-Tieng, przeszyty dwunastoma kulami. Jego sierżant przyłapał go w pobliżu leżącej palarni...

Z „miejsca umarłych" doniosło mu echo w tej chwili załośne litanie bonzów, pieśni płaczek i modły składających ofiary. Noc stawała się coraz jaśniejszą; palmy i tamaryndy szemrały poruszane wiatrem morskim...

P. STACHIEWICZ.



MATKA BOSKA SIEWNA.

Głęboka cisza. Lecz spokój i jej uroczystość przerwali przodkowie, równocześnie wołając:

„Tchórzu, niewdzięczniku, zbrodniarzu! Dlaczegóż się nam sprzeniewierzyłeś, odkądeś do służby białych wstąpił? Oby potomstwo twoje o twoim zapomniało cieniu“.

Nie zwlekał dłużej. Do końca jego straży pozostawały mu jeszcze dwie godziny, miał więc czasu dosyć formalności wypełnić i powrócić na swój posterunek. Wślizgnął się w zagrodę strażnicy, tam gdzie kuchnie były umieszczone otworzył kurnik, wybrał dwie kury i zerwawszy ananas z ogrodu oficerów, znikł w polu ryżem zasianem.

* * *

Chwiejnym krokiem wstąpił na cmentarz, a jakkolwiek księżyc pysznie oświecał „miasto umarłych“, leciał Li-Hun-Wai w pospiechu swoim na liczne pagody, u stóp których śpią bonzowie, potykał się o kopce ziemi, które służą za nagrobki, uderzał o filary i błąkał się w cieniu pagód, przykrywających ziemskie szczątki mandarynów. Spóźnieni wyznawcy konfucyusza, palący kadzidła na srebrnych trójnogach, ustawali w modłach, aby go zobaczyć.

Nareszcie dotarł do celu. Obok niego wznosił się grobowiec jego przodków. Wysoka paproć i powój pięły się po granitowem sklepieniu...

Zerwał je, ukląkł i modlił się powoli lecz donośnie.

„Ja, Li-Hun-Wai, niegodne dziecię szlachetnego rodu, pozdrawiam w pokorze najdalszych mych przodków, których rozpruszone dusze, unoszą się w jarach dżungli, w lasach na jasnych brzegach Arroyo. Pozdrawiam moich bliższych antenatów, którzy Buddę kochali.

„I klękam w pokorze przed Li-Hun-Tschingiem, moim dziadem i Li-Hun-Mongiem moim ojcem, bezpośredniemi przyczynami mego bytu“.

Podniósł głowę uspokojoną, położył na kamieniu dar przyniesiony i modlił się dalej:

„Oby owoce te zaspokoiły wasz głód i pragnienie, gdy po długiej męczącej wędrówce w Krainie dusz, do waszego ostatniego legowiska powrócicie. Dawniej, gdy słońce lepiej świeciło i Budda był łaskawszy, przynosiłem Wam zamiast tej szczupłej daniny, pełne kosze bananów, mangrowiu i mango“.

Tu ustał, chycił obydwie kury, poderznął im gardło i kroczył z wyciągniętemi rękoma dokoła grobowca, kamienie krwią obryzgując. Przytem mówił tym samym głosem donośnym lecz żałośnie brzmiącym:

„Dawniej, gdy Taet nadszedł, ofiarowałem cieniom waszym miasto tych mizernych ptasząt, odyńca, 2 kury z kambodży i ryby z „Czerwonej rzeki“ zaprawiane Nuoz-Mamem.

„I podczas, gdy krew ofiar kapała, kazałem gawiedzi hałasować i spalałem w złocie blaszkowem zawijane amulety.

„Przebaczcie mi wszyscy teraz z powodu mego ubóstwa, i nadal bądźcie mi przychylnymi“.

* * *

Gdy skończył, księżyc nie błyszczał już na firmamencie, a filary, piramidy, pagody i allegoryczne postacie jaśniały w bladem świetle świtu. Biegł z całych sił, aby przed zluzowaniem warty stanąć na swojem stanowisku. Gdy wstąpił jednak na most zwodzony, spotkał go sierżant, idąc na czele oddziału i na ręce włożył mu kajdanki...

Tego samego dnia stanął przed sądem wojennym, lecz na wszystkie zadawane mu pytania, dawał jedną i tę samą tylko odpowiedź:

„Ja, Li-Hun-Wai, niegodne dziecię szlachetnego rodu, pozdrawiam w pokorze najdalszych mych przodków, których rozprószone dusze unoszą się w jarach dżungli!“

Żaden muskuł nie drgnął na jego żółtem obliczu, gdy szedł na stracenie, usta tylko cicho szeptały:

„Pozdrawiam i czczę moich bliższych antenatów, którzy Buddę kochali“.

„Ognia!“ zakomenderował dowodzący oficer. Salwa karabinowa wstrząsnęła strażnicą.

Przeszyty i rozszarpany w kawały kulami legł biedny Wai. Usta jego zmiażdżone zdołały wyszeptać:

„Pozdrawiam Li-Hun-Tschinga mego dziada, i Li-Hun-Monga mego ojca, bezpośrednie przyczyny mego bytu!“...

I jeszcze raz wyciągnął konwulsyjnie skurczone ręce, jakby chciał spełnić ofiarę za umarłych...



Pogadanka naukowa.

Niezbadane obszary ziemi.

Gdy ośmnaste stulecie chyliło się ku końcowi, wiadomości nasze o kuli ziemskiej były dosyć szczupłe. Pomimo to, że od niedawna dopiero zaczęto odkrywać te prawa, któremi rządzi się fizyczne życie naszej planety, nauka typografii nie przekraczała opisu brzegów, a pojedyncze części świata z zarysów nawet nie były dostatecznie zgruntowane. Kto wziął najlepszą nawet mapę ogólną z onych czasów do ręki, tego musiały zdumieć na nich ogromne niezadrukowane plamy. A jednak znać było postęp, jaki oddzielał tę mapę od jej poprzedniczki z przed stu lat.

To samo będzie miało miejsce, gdy poświęcimy uwagi kartografii współczesnej, która daleko poza sohą zostawiła pracę minionych wieków.

Zdawałoby się więc, że niewiele już nam pozostawało w geografii do zrobienia i że z początkiem dwudziestego pierwszego stulecia nauka ta zostanie zupełnie zakończoną. Ale kto obeznany jest z historyą wiedzy, ten wie, że tak nie jest, że raczej do każdego rozwiązanego zadania przybywają nowe kwestye i zagadnienia, nie ukazując bynajmniej krańcowych celów.

Gdy zapytamy, jaka część ziemi najwięcej wymyka się z pod naszej wiedzy, każdy odpowie, że oba zimne pasy. W ciągu jednak ostatnich trzechset lat arktyczne strefy coraz więcej traciły na swej tajemniczości, a ostatni tryumf na tej drodze odniósł Nansen, który przekroczył 86 krąg szerokości i czynem tym prześcignął wszystkich, którzy przed nim zdążali do głównego punktu osi ziemskiej.

Bieżące stulecie ma przed sobą oczywiście zadanie wyjaśnienia wyspowej natury tej olbrzymiej masy lodów, Grenlandyą zwanej, jak również tak mało dostępnego archipelagu na zachód od Boothia Felix, przez którego rozległy obszary dotąd tylko jeden Mac Cluse przebił sobie drogę. Daleko lepsze niż o tej „północno-zachodniej drodze“ wiadomości posiadamy o północno-wschodnim przejeździe, który przebył słynny A. A. Nördenskjöld, nie mogąc wszakże pod tym względem stawiać pomyślnych horoskopów dla światowego handlu. Wyprawa Nansena zbadała stosunki brzegów kraju Samojedów i półwyspu Taimyru; pomimo to przyszły badacz wdzięczne ma przed sobą zadania, a w pojedyńczych wypadkach oczekuje go całe mnóstwo okazyi do wykazania sił i zdolności. Tak np. leżąca wprost prawie wrót Norwegii, niegdyś przez Keilhau'a po raz pierwszy poddana geologicznym badaniom Niedźwiedzia wyspa, na którą teraz zaledwie różni kolonialni politycy zwrócili oczy, może być co do swego wnętrza nazwaną „terra incognita“. Ale i w brytańskich posiadłościach Ameryki północnej i na terytoryum Alaski dosyć jest miejscowości, oczekujących naukowych badań. Dość przypomnieć złotodajną Klondyke, znaną więcej spekulantom, niż geografom.

Daleko gorzej, niż na północy, rzecz się ma na południu. Obliczenia A. Supana doprowadziły do tej prawdy, że dokoła południowego bieguna istnieją przestrzenie tych prawie obszarów co Europa, nieznane wcale ludzkości. Stromo piętrzące się lodowe skały w wielu miejscach zagradzają

najbardziej przedsiębiorczym rybakom drogę, a co się za tą niedostępną i nieprzebytą ścianą forteczną święci, tego nikt nie potrafi powiedzieć. Geolodzy i meteorologodzy z pośrednich wskazówek starali się utworzyć sobie pojęcie o budowie polarnego lądu, ale dotąd nieustalono jeszcze jednozgodnie, czy się ma do czynienia z jednolitą masą lodową, czy też z grupami oddzielnych wysp. Dopiero ostatnie czasy, jak to Borchgrewingk i de Gerlache wykazali, poczęły rozpraszać wątpliwości, a szykujące się nowe liczne wyprawy, jeżeli nie zdołają zedrzeć zasłony z tego tajemniczego obrazu, to w każdym razie może choć krok zrobią naprzód ku wnętrzom krainy południowego bieguna.

Ze wszystkich lądów najodporniej względem badań zachowała się Australia. Da się o niej to samo powiedzieć, co i o lodowatem morzu: australijskie płaskowzgórze zdaje się posiadać jedne i te same stereotypowe rysy. Przy zakładaniu telegrafu od portu Darwina do południowego wybrzeża, szczęśliwie cały ląd przecięto od północy do południa; w poziomym wszakże kierunku nie udało się tego dopiąć, i jak niegdyś Leichhardt zginął w tej śmiałej ekspedycyi, tak też następne wyprawy, które przedsiębrali Giles, Lindsay, Mac Gregor, Horn i inni, nie dopiąwszy celu musiały powrócić, chociaż poszczęściło im się oświetlić stosunki niektórych okolic. W Nowej Holandyi od niedawna zaaklimatyzowany wielbłąd przyczyni się do jej poznania, niekorzystnie za to przedstawiają się nasze wiadomości o orograficznym i hydrograficznym stanie Nowej-Gwinei, której wnętrze, zamieszkałe przez dzikie, ludożercze plemiona Malajczyków, pozostawało zawsze niedostępnem dla misyonarzy i kupców. Otwarcie archipelagu Bismarka i Salomona staje teraz jako nagląca potrzeba a i o Mikronezyach niewiele wiemy jak na ten długi czas, który nas oddziela od pierwszego ich odkrycia przez Magelhaes'a.

Z Afryką, której długo przysługiwała nazwa „ciemnej" części świata, stoimy nieco lepiej. Próżne miejsca na mapie stopniowo coraz bardziej się zmniejszyły. Nie daje to jeszcze jednak prawa geografowi spoczywania na laurach, albowiem w szczegółach znajdzie się jeszcze sporo do zrobienia. Nadzwyczaj pożądanem jest zbadanie zjawisk wulkanizmu, którego, jak przypuszczano niegdyś, Afryka była pozbawioną, a który podług wyjaśnień hrabiego Teleki i Goetzen'a istnieje w daleko od siebie leżących miejscach, a że już udowodniono wielu większych tektonicznych linij, łączących ze sobą wygasłe góry ogniste tej części świata, chodzi więc teraz o to, aby znaleźć podobną komunikacyę i dla nowych objawów sił podziemnych. Na Kilimandżaro, Kenji i Kamerunie stopa ludzka już stanęła, ale Ruwenzori czeka jeszcze, by się nań wdrapano i cała okolica dokoła tej góry, od czasów Stanley'a nie zwiedzana, musi zostać nareszcie dokładnie poznaną. Stanley był mianowicie zbyt wielkim zdobywcą, ale za mało geografem, przesiąkniętym duchem badawczym, aby nie należało większej części złożonych przezeń danych poddać starannym sprawdzeniom. Również wątłe są nasze wiadomości o krajach murzyńskich na południe od jeziora Czad, włącznie z centrem Kamerunu. Zamkniętą księgą jest również półwysep Somali aż do wschodniego rogu Afryki,



WIELKI PIĄTEK.

a nawet na skrajnym północnym wschodzie, w samem pobliżu Europy, kwestya Atlasu jest bardzo daleką rozwiązania. Pracom Schnell'a i Wittmana zawdzięczamy dobre poniekąd oświetlenie Atlasowego łańcucha gór, ale każda nowa podróż, przynosi nam nowe dane, jak tego dowiodła wyprawa przedsięwzięta niedawno przez Th. Fischer'a i hrabiego Pfeila do zachodniego Maroka.

I druga część starego świata, Azya, przedstawia dla geografów niejedną zagadkę; zaczynają się one w przedniej Azyi. Że wiele jest tam jeszcze do zrobienia, dowodzi tego niedawno szczęśliwie zakończona wyprawa Belek'a i Lehmann'a.

Wielkie usiłowania podjęto w najnowszych czasach w celu bliższego poznania bezludnych pustyń centralnej Azyi, przedewszystkiem pod względem ugrupowania ich gór. Za Przewalskim poszło wielu geografów i geologów, a gdy owoce podróży Sven Hedin'a i Fütterera zostaną uporządkowane, wówczas będzie można utworzyć sobie jaśniejszy obraz o tych stronach. Dwaj młodzi uczeni Richthofeńskiej szkoły, Wegener i Friederichsen, na podstawie opisu podróży Karola Rittera i przesłuchania świadków naszkicowali konfiguracyę dwóch najgłówniejszych środkowo-azyatyckich wzgórz, Kwen-Luen i Tien-Szan.

Przepewszystkiem interesować będą rozpoczynające się stulecie Tybet i oba w odosobnieniu stojące sąsiednie z nim kraje Nepaul i Bhutan. Przyjęcie jednak, jakiego się tam zdaniem Landora, należy spodziewać, nie może być bardzo zachęcające. Szczególniej niedostępnemi są dzikie wzgórza, graniczące między Chinami i najmniej znaną ich prowincyą Junnan z jednej, Burma i Siamem z drugiej strony. Natomiast wkrótce będzie można dać dość dokładny opis Korei. Krajoznawcze i etnograficzne zdobycze na wielką skalę obiecują nam holenderskie tylne Indye, pomimo wielu prac, na tem polu już dokonanych.

Najbardziej znaną częścią świata w niepolarnych stronach jest bez kwestyi północna Ameryka, jakkolwiek Stany krańcowe północnego i popołudniowego zachodu, Arizona, Nowy Meksyk, wcale nie zadawalniają wymagań krajoznawstwa. Niektóre luki wskazuje też geografia i w środkowo amerykańskich republikach, łącznie z Meksykiem i tylko wyjątkowo poszczycić się może jedno z tych państewek tak niestrudzonym i szczęśliwym badaczem miejscowym, jak W. Sapper. Południową Amerykę można właściwie porównać z Afryką. W starych kolonialnych posiadłościach północy, Kolumbii i Venezueli, najmniejsza nawet podróż, jak np. Regel'a i Sievers'a może znacznie pomnożyć geograficzne wiadomości, a cała tylna część Guyany może walczyć o lepsze z Afryką pod względem sławy nieprzebytych przeszkód na drodze badań. Eldoradem etnografów, dziś jeszcze zaludnione mieszkańcami w kamiennem okresie przebywającymi, jest przestrzeń leżąca po prawej stronie dopływów Amazonki i stanowiąca dla przyszłych badaczów, następców Hermana Meyera, szerokie pole do studyów życia pierwotnych ludów. W górach zaś nie brak prawdziwie dziewiczych miejscowości; tego złożyło dowody sprawozdanie komisyi granicznej między Chile i Argentyną. Strefy pampasów w południowej Argentynie dostarczają też wiele materyału dla badaczy fizycznej geografii stepów. Co się tyczy ognistej ziemi, badania nad nią na bardzo dobrą drogę pchnął młody Nordenskjöld, ale nie doprowadził ich do końca.

Niniejszy rys dowodzi, że geograf nowego stulecia nie ma powodu do uskarżania się na brak pola i celów dla swej działalności.

Jesteśmy jeszcze bardzo oddaleni od tego, żebyśmy mogli powiedzieć, iż powierzchnia naszej planety tak nam jest znaną, jak zwrócona ku nam część księżyca, której doskonałe mapy posiadamy.

Stanisław Barącz



SŁOTA.

Tłoczą niski widnokrąg chmury szare, mętne,
W mgłach spowita, po drzewach zwisa senna nuda;
Szkli się brudnym połyskiem rozmoknięta gruda,
Rynny mruczą pod murem, jak dziady natrętne.

Płynie senność bezwładna w białawych oparach,
Lenistwo ziewa w sinym ścielącym się dymie;
Słota zaciąga mokre swe płachty olbrzymie,
Zimne dreszcze przebiegły po ziemi obszarach.

Myśl jak zwilgła zapałka błyśnie — i wnet zgaśnie,
Czas leniwy powoli, nieznośnie się wlecze,
Po dachu dżdże szeleszczą, jak robactwa tłuszcze.

Wiatr się zerwie — i nagle porażony zaśnie...
Deszcz spokojnie, miarowo zwisłe liście siecze
I monotonnym szmerem bez końca wciąż pluszcze.



Kazimierz Bielański.

Z polskiego Parnasu.

(Dokończenie).

I.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Poezye. Serya IV.

..Więc nie ma wyjaśnienia, nie ma rozwiązania tajemnic bytu i cierpienia?... Jest... jest! Jest Matka-Natura wszechwieczna, która duszę z drzew szumem unosi w błękity, z rzeczną falą za rubież ziemi, wichrem górskim dźwiga ją w bezmiary, skąd widać obrót kołowrotu świata — Bogu ołtarze stawia po górach, pustyniach i morzach, kurzem wulkanów szląc kadzidła mszalne. Matko-Naturo, niech w tobie istność moja zaginie, niech dusza moja stanie się cząstką szumów drzew, cząstką fali w rzece, cząstką głosów po grotach brzmiących, cząstką gry słońca na górskiej dolinie. Pragnę dla ducha tej chwili świętej, kiedy czysty i szczytny, jak orzeł wzniesie się na Cisz zawrotne krawędzie i stanie się podobny dumnej i spokojnej łodzi, co przewalczywszy wiry, żaglem na toni błyszczy zwierciadlanej. Wówczas, gdy przyjdą biali aniołowie rozmawiać z duszą, odpowie im nie jękiem bólu, klątwą i krzykiem, lecz cichym spokojem wód, co się w lesie kołyszą i mową drzew górskich.

Chcę lecieć wolny, jak światło w błękicie,
Chcę duszę rozbić na bezkresną przestrzeń,
Chcę być jak cisza na łąk pierwobycie...
O duszo! Wzbij się! Skrzydła twe rozprzestrzeń!
Wzbijaj się! Wyżej!... Pękajcie wiązadła
Ramion i skrzydeł! Lecz wpierw tam, z zenitu,
Raz, jak Bóg spojrzyj na otchłanie bytu,
A jeśli runiesz, toś z pod nieba spadła!...

W wyobraźni. Poeta widzi jakby w wizyi jakiś kraj śniony, dziwny, cichy, jedno tylko słońce wchodzi w to zacisze. Z górskiej kotliny wyszły dwie siostry — Eliana z Arikarną. Zda się, że wiatr kołysze wiotką kibić i smukłe ramiona białej Eliany o włosach złocistych, błękitnych oczach i twarzy jaką Praksytel dał najczystszej z czystych Psyche. Ciemne szafiry ócz Arikarny zdają się sypać iskry w przeźroczu, twarz jej wśród kruczych włosów przypomina łowów boginę Dyanę. Szły — a on patrzał oparty pod skałą — szły ramię pod ramię. We włosach miały kwiaty i odzienie z lekkiej osłony. Szły jakby z innego świata, z między duchów i rzekły: pozdrowion bądź, jakby kiedyś w przedczasie zwali się siostrą i bratem. Łąka śród skał jest jakby odrodzoną duszą poety. Skarży się Siostrom swej duszy, że złem i cierpieniem jest życie. Na krzyżu wisi trup przybity, a nad nim krąży krzyk: Boże mój! Boże mój! Czemuś mię opuścił... i poeta wraz całym światem z krzyża swego krzyczy: Boże mój! Boże mój! Czemuś mię opuścił, a łzy w oczach gaszą mu piękność dwu sióstr. One wyciągają ręce, lecz poeta nie wierzy już w szczęście...

Myśl i uczucie, to, co zwie się duszą,
Jak deszcz i słońce muszą rodzić zboże,
Tak one boleść życia rodzić muszą.
Żaden duch-człowiek szczęścia znać nie może...

Przed poetą stoi jedyny jego Bóg, Bóg nieświęty — — Ironią zwie się.

Przed jego cichym, spokojnym ołtarzem,
Wraz z całym światem ja krwią moją kadzę,
Sercami komunikujemy się.
On jest Wszechstwórcą Rzeczy i Grabarzem.

Ale wy, duchy świetlane, weźcie za ręce duszę i wiedźcie ją kędyś w pustynie, gdzie nie ma istotności, gdzie nie ma Boga i ołtarza, gdzie jest Milczenie Wieczne, Ciche, Wielkie, gdzie jest Spokojnie. Jest gdzieś Łąka Mistyczna, po której chodzą duchy wolne, czujące rozkosz najwyższą: być duchem! — Wierzę w byt przyszły. Leci się w inny świat... Tam baśń, tam legenda. Ludzie wzniesieni nad Gehennę ciała, nad swe Golgoty, patrzą się w trójcę Ciszy, Przestrzeni, Światła...

Śpiewają puszcze i gwiazdy w przestworze,
Błyszczą jeziora i komet tysiące,
Na polach młode rozwija się zboże,
A z mgławic nowe stwarzają się światy — —

Wiersze różne najwięcej przypominają dawnego Tetmajera, dlatego nie będę się nad niemi dłużej zatrzymywał. Odznaczają się one wielką plastyką, gorącym kolorytem, piękną rytmiką i wogóle formą, choć nie ma w nich właściwie nic nowego. Rozpoczyna je piękny, nastrojowy Zamek. Dalej idą drobne wiersze, przypominające dawniejsze „Zamyślenia" i „Preludya". W jednym z nich bardzo pięknym pyta się poeta, coby powiedział, gdyby Bóg przed nim anioła sądu stawił, a ten go zapytał, gdzie jego plon roboczy. Cóżby powiedział?... Gdzieś w czczej poniewierce trwonił duszę i serce... Ani jednego ducha z dołu w błękity nie podniósł, jednej iskry nie rozniecił. Cóż jest wart, choćby tęczą świecił, jeżeli nie był dżdżem płodnym i słońcem — cóż wart, choćby był lawą, choćby wszystkie czucia w człowieku poruszył, jeżeli bóstwa nie rzucił mu w duszę. Do piękniejszych i silniejszych należą także Na wiosnę, Szatan, W nocy, Grota, Pieśniarz grecki. W tym ostatnim jest jakby tłómaczenie i usprawiedliwienie się poety z tematów swoich pieśni. Pieśniarz grecki usiadł nad morzem. Kraj jego, przed którym drżał Xerxes, zdeptała rzymska stopa, bohaterowie legli, dawna chwała w pyle, zostały tylko jęki i pochlebstwa dla wroga. Przed sobą widzi pieśniarz kąpiącą się w morzu z lubieżną pustotą gromadkę dziewcząt jasnoruną. Wziął harfę, uderzył w struny, lecz pękły, te co mogły rzucać pieśń bojową — została tylko jedna w lekkim, srebrnym dźwiękiem. Trącił w nią z wzgardliwą ironią — śpiewa morze, piękność nagości, rozkosz zmysłów, ten, co mógł być Tyrtejem w czasie Tyrteusza.

Po Wierszach różnych idzie przepiękny poemat Quiamant... (Którzy kochają). Jestto poemat tak piękny, że można go wziąć za uzupełnienie „W Szwajcaryi" Słowackiego. Tylko tu miłość więcej uduchowiona, z wewnętrz płynąca, niemająca w sobie nic ziemskiego — święta. Wieje od niej jakiś mistycyzm, cichy, nieuchwytny, coś koi, zachwyca, budzi tęsknotę. Jest to sen duszy zdala od gwarów ziemi. Odzywa się w duszy jedno Imię i płynie w świetle w dal przez morze kwiatów, jak łódź po jeziorze — kwiaty się chylą. Żadna lutnia nie wygra muzyki tego Imienia. Poeta zamyka oczy; przed niemi jawi się wizya dalekiej, cichej ziemi. Jezioro, niebo, mirty, róże. Na błękit wody schodzi z górskich śniegów złocista cisza. Nad wodą ona, nad jeziorem onem chodzi jasna, cudna Pani, Pani jego duszy. Z jej oczu rodzą się czystość i cisza.

Wśród ciemnych świerków jest kapliczka [z drewna,
Mała kapliczka w podgórskiej ustroni.
Tam, jak cudowna z legendy królewna,
Przyszła, uklękła i śliczną twarz w dłoni
Ukryła klęcząc. Było rano. Świeże
Srebrzyły rosy gałęzie i trawę,
Daleko góry błyszczały jak wieże
W szafirze nieba ciemne i złotawe.

W półmrocznej kaplicy, rozwidnionej światłem słońca i blaskiem smutej gromnicy, ona wydała się poecie snem, widzeniem, zjawą.

I nigdy tego rana nie zapomnę,
Tych gór w przestworzu świecących złotawo,
Jak piramidy i gmachy ogromne,
I jej klęczącej i tej świeżej rosy.

Po urwisku wiedzie Ją pełną zaufania w górę, tam w górze rozsłania się mgła, szczyty płyną, skalne uroczysko zdaje się lecieć w strop... On by ją, królewnę swoją, poprowadził jeszcze wyżej, tam gdzie wieczne Światło, gdzie nikną ciała i stają się duchami. Tam na łące Mistycznej, daleki od klęsk i boleści ziemskich u jej kolan zapomniałby, że jest życie...

— O połóż, połóż mi na oczach dłonie!

Po ziemskiej bryle przewiewać będzie zawsze wiatr mogilny, zawsze pełną będzie łez i zgrzytu. Cóż z porywów i żądz bezsilnych? — Posępne widmo z potem na czole, ranami na dłoni, lata już, ściga poetę, każdą chęć jego i żądzę psuje. To cierpiąca rzesza. On wie, gdzie iść winien, wie, czego ta rzesza żąda — więc niech go wicher z pola jak pył zmiecie, jeżeli służbę zaniedbał powinną. Jeżeli idąc swą drogą nikogo nie krzepi, nie broni, jeśli jego słowo nie jest ni tarczą ni chlebem, ni krzykiem krzywdy, ni echem skargi — niech runie w przepaść z tym śmiertelnym grzechem i niech niepamięć będzie mu pogrzebem.

Ciszy! Przestrzeni! Światło! O wy święte
Miłości duszy mej, nieogarnięte,

tyle miłości, tyle tęsknoty ku wam w duszy w potok szalony się spiętrza!

Patrzcie na twarz Jej, Czyście Ją widzieli!
Tak piękną duszę Bóg raz tylko stwarza!
Wierzę, że mogą być w niebie anieli
I że Bóg kształt ich na ziemi powtarza
W wybranych duszach. Wierzę, że są kwiaty,
Które się rodzą z spojrzeń ludzkich oczu,
Wierzę, że krążą ponad ziemią światy,
Tęskniące do niej w niezmiernem przeźroczu.
Wierzę, że jedno ludzkie, krótkie życie
Może za sobą poprowadzić ludy,
Wierzę w natchnienia z ognia, wierzę w cudy,
I wierzę w bóstwo z promieni w błękicie..

I kocha poeta tę jedyną, która mu piękną kobiecą objawiła duszę. Pięknością morza, gór i łąk chciałby zasłonić świat przed jej okiem, by Prawda przed nią nigdy swej strasznej nie zjawiła twarzy. Niech żyje w zaczarowanym ogrodzie swej duszy, jak królewna od swiata odcięta. Bo chciałby ją widzieć zawsze Panią błękitnych myśli, państw i snów z kryształu, by była najczystszą na ziemi i niebie. I niech mu ona z głową cicho ku piersi schyloną, ku piersi, gdzie się światło rodzić może kapłanką będzie!

Ją kocha, za nią tęskni, jej woła! Ona jest jego wiarą, wcieleniem ludzkości, przez nią kocha, przez nią nienawidzi, ona jego sercem i harfą z płomienia. Niechaj mu śpiewa! Widzi ją, słyszy, choć między nimi kraje całe, niknie przestrzeń, oni są myślą połączeni razem. Śpiew jej w duszy poety brzmi, dźwięczy, drży, nabrzmiały łzami. Jak Demon głos jej krąży mu nad głową i w zaświat go porywa. O, gdyby rzucić cielesne pęta! Niech się świat wali — ty, pójdź ze mną! — Śpiewaj! Weź moją smutną głowę w twoje białe ręce, bez żalu i lęku oddałbym ducha mego w ręce twoje. Pamiętasz tę ciemną świerków aleę, gdziem usta moje do rąk twych przycisnął? Tam nademną anioł bólu skrzydła roztoczył, a jam na wieczność mu się ofiarował. W twych oczach łzy zabłysły — tyś nie widziała lecz zgadła anioła.

Z łez, które dla mnie mgliły Twoje oczy,
Różaniec w mojej uwiłem pamięci.
Kiedy mię cisza wieczorna otoczy
I spokój lasów tatrzańskich okoli:
Idąc, jak ludzie od świata odcięci
Ofiarą duszy i Bóstwa miłością,
Pod lasu cieniem i nieba ciehością
Różaniec z łez Twych przesuwam powoli.

Gwieździsta, miesięczna noc. Las stoi milczący, ciemny i zaklęty. U kraju lasu świecą drzewa półjasne, błękitnawo białe



KWIETNA NIEDZIELA.

niby posągi. Martwota, głusza. Tylko suchemi liśćmi szemrzą gaje i szum strumienia w księżycu migota. W dali kapliczka z drewna. — Poeta patrzy w leśną ciemnię, patrzy na wieczne świata tajemnice, patrzy na to Imię, co w sobie całą wszechistność zamyka na wszechmoc w jednem utajoną Słowie — na wielką potęgę natury, na mleczne drogi. — Słucha przemykającej ćmy, owadu, co u nóg w trawie szepce, ognia, co wre w czarnem wnętrzu ziemi, słucha kamiennej ciszy granitów. Księżyc nad lasem jaśnieje i srebrem go rosi. — W piersi poety wstaje głęboka, olbrzymia tęsknota. Gaj prószy liśćmi, blask księżyca lśni na świerków korze — w taką noc rzekł Bóg przed wiekami: „Źle człowiekowi samemu na ziemi".

Szukał jej długo, czekał jej o każdej godzinie, od lat całych był niewidzialnym cieniem przy niej, szukał daremnie w kobietach tej, co w nim istniała. Ciebie poczułem przed dawnemi laty, gdy głos w noc cichą zabrzmiał mi nad głową, a mnie się zdało, że się sypią kwiaty, że kwiatem na mnie pada każde słowo... Lata tęskniłem za taką rozmową i latam czekał, aż się znów powtórzy... Przyszła — przebrzmiała, jak więdnie liść róży z kochanej ręki...

Bronzowy księżyc lśni wśród chmur powodzi —
Zda mi się, płynę w kruchej, wątłej łodzi
Przez wielkie morze w noc ciemną i niemą.
Fala szeleszcząc pod łódkę podchodzi
I znów się pod nią rozpościera niemo.
Wicher przeciągle w żaglu moim wieje —
Płynę przez morza szerokie rozchwieje.

Przed nim ciemność. Mgła z ołowiu wilgotna, ciężka błądzi. Z mgieł wydarł się księżyc krwawo czerwony z twarzą szatana, co przeklina. Płynie, a łódź zmierza tam, gdzie altana z bluszczu stoi o skał ruinę oparta. W altanie jasna, święta ziemi i nieba Pani i królowa, biała Madonna. U jej stóp płonie oliwna lampka o blasku różowym. Tam kogo doniesie łódka i lampa blaskiem powita, w zachwyceniu całuje święte, marmurowe nogi, a potem w kwiaty i we łzy je wieńczy. Tam płynie poeta, lecz lampki zobaczyć nie może, wie tylko, że jest i wskazuje drogę; wie, że Madonna tam jest jasna, cicha, że błogosławi anielstwem Swej twarzy łódź, co po morzu błądzi. Wie to, lecz wokół niego ciemność, bezkres wody, wilgotne mgławice i cisza grobu, straszniejsza od burzy. Płynie, na pierś opada mu głowa, źrenice zamykają się zwolna, łódź w całun mgieł się słania, a fala czarna szepce głucho o potwornej głębi — wicher w żaglu jęczy — zda się poecie, że płynie po śmierć w swej łodzi.

Lecz choćbym wrócić mógł z ciemnego morza,
Nie wrócę, pójdę za złowieszczą falą;
Ani mię słońca już nie nęci zorza,
Ani mi gwiazdy, gdy się w noc zapalą,
Nie biorą więcej duszy między siebie,
I nic na ziemi, ani nic na niebie
Ducha mojego zachwycić nie zdoła.
Głos Twój mię tylko tam do Ciebie woła,
Głos, na przestrzeni zdaleka rzucony,
Głos, co mi serce wraz z życiem wyrywa —
Myślę, na przeszłość twarzą odwrócony:
Czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

O gdybyś przyszła! Raz jeszcze! Raz jeszcze dziewicze, jasne, czyste twe zobaczyć oczy! Raz jeszcze twe ręce do ust przycisnąć — raz jeszcze z ust twych słyszeć swoje imię! — Szczęśliwi, którzy wierzą, że po zgonie gdzieś na Elizejskich błoniach spotkają tych, których kochali.

Gdybym tak wierzył, chciałbym choć z oddali
Patrzeć na Ciebie i pod Twoje stopy
Za pieśnią rzucać pieśń, jak kwiatów snopy,
I takim hymnem uwieńczyć Cię, droga,
Ażby z błękitu wyjrzała twarz Boga!
Gdybym tak wierzył... Serce mi się zrywa...
Odwróć odemnie twarz i bądź szczęśliwa!

Koniec... Otwieram Słowackiego i czytam:

Zkąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę! aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie
Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
Zawsze mi smutno i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje miejsce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali — zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

Książkę zamyka Uzupełnienie, na które składają się dwa utwory Legenda i Szalony Faun. W Legendzie jest wspomnienie miłości, w której się łączyły serca, dusze, dłonie. Wszystko przeszło i nawet niewiadomo, czy to było wczoraj, czy przed latami, w każdym razie upadły wpoprzek całe światy, pozostała tylko pamięć szczęścia i goryczy i urodziła się legenda cicha, rzewna, święta. Może kiedyś po latach, po wypadkach wielu zejdą się jeszcze z sobą, może mówić będą i choć nie przypomną przeszłości, ona drgać będzie pod każdem słowem skryta, jak łza pod powieką. Może jeszcze przyjdzie odrodzenie ich miłości. Tymczasem ponad pamięcią przeleciał Archanioł milczenia. — —

Szalony Faun. Faun wybiegł w pole, zerwał wieniec z czoła i potargał w strzęp. Gonią go smukłoude nimfy i ciskają nań kwiatami, śpiewając na cześć Pana, boga winnych gron i Kiprydy z fali morskiej zrodzonej, która pomaga im znieść nocny chłód, gdy Satyr uniesie je w ciemny las na posłanie traw i mchu. Tańczą, wzywają i wabią Fauna do pieszczot. Lecz on gniewny odpędza je precz — dość mu już ich nagich ciał i ich krzyków szyderczych. Nimfy pierzchły, Faun został sam — w oczach mu błysły łzy i ścigacz smukłokształtnych ud modli się do jasnoczołej Pani błękitnych, cichych dni, najczystszej z czystych, z woni róż, z liliowych blasków zrodzonej — tej, co przeszła raz przez świat i zostawiła mu tęsknotę nadziemskich snów. Ja chcę odtąd kochać. Szukał ją dzień i noc, trud go nie zdołał zmóc. I choć ulegał czarom leśnych drzew, wnet odtrącał je z gniewem i szedł za jej śladem, lecz ona wciąż uchodzi dalej, tak że zna ją tylko w swoim śnie. A jednak ona nie jest złudą, ta czysta Psyche. Gdyby mógł ujrzeć ją raz i u jej nóg modlić się jak do gwiazd i słońc! Lecz ją przeraża ścigacz nagich Nimf, bo nie zna mocy jego tęsknot, kiedy błądząc w zmroku pod krzewem róż wstrzymywał krok i tłumił oddech i jej czekał. Czyż sen jego próżny? Jeżeli ona nie wyjdzie, niech strzała Zeusa roztarga na szmat jego sen, ból i szał! I staje się cud! Z krętej wełny, z koźlich nóg, jasny się wypromienia bóg — u ramion drży niewidzialnych skrzydeł sieć, opadł z niego wszelki brud i grzech. Dawny świat runął w gruz, nowy się rozwija i nowe życie. Ziemia staje się nieziemsko piękną — na łąkę z światła spływa huf nieziemskich, niepojętych dusz.

Wiatr rozwiał w niwecz koźlą sierć,
Szalony Faun oczyma lśni
Jak bóg... A w tem nań spadła śmierć.

Taka jest treść czwartej seryi poezyi Tetmajera.

Do dawnych strun na lutni poety przybyły nowe, obejmuje on szersze horyzonty myśli, wnika on głębiej w istotę bytu, w tajnie duszy ludzkiej otchłannej, niewyczerpanej, niezbadanej nigdy, zatem wiecznie nowej i wielkiej. Z erotyki i zachwytów nad pięknem plastycznem przechodzi w dziedzinę czystej myśli, w sferę metafizyki. W wizyach w własnej duszy zrodzonych buduje nowy świat, w którym nie ma sprzeczności, walk, nędz, cierpień, świat, w którym człowiek żyje w ścisłem, tajemnem połączeniu z wszechprzyrodzeniem, szczęśliwy i wolny. Przeznaczenie i cel istnienia go dręczą i niepokoją, chciałby rozedrzeć zasłonę, za którą kryje się prawda ostateczna i wyzwolenie duszy z pęt ją krępujących. I dlatego zaprzestał igrać pięknością form, co jedynie zmysły bawią, a sięgnął w głębie do owych pytań odwiecznych, rozpacznych, na które nie ma odpowiedzi, a które boleśnie nurtują w naszych duszach, — i dlatego dokonał czarodziejskiej przemiany onej zmysłowej miłości w miłość metafizyczną, owej tęsknoty młodzieńczej i indywidualnej w tęsknotę bezmierną a wszechludzką, dlatego rzucił koźlą skórę, a zapragnął stać się doskonalszą, wyższą istotą. I to jest ważny i istotny postęp w twórczości Tetmajera. Olbrzymio dodatnim rysem w działalności jego, jako poety w zaczeniu ściślejszem jest, że nie zna kompromisów z innymi, ubocznymi względami, że tę poezyę czci i że jest ona jego umiłowaniem — możemy się więc jeszcze dużo od poety spodziewać.



Bertold Menkes.

„Złote runo“.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny
I od szatana, co w dom przychodzi
I dusze zwodzi,
Zachowaj nas, Panie!“

Gdyby temat ostatniego dramatu Przybyszewskiego dostał się w ręce któregoś z fabrykantów literackich, Zapolskiej lub kogoś podobnego, powstałaby sztuka bardzo interesująca, ale dość stereotypowa, przeciętna, „ein Ehebruchsdrama“.

Ale temat taki podjął Przybyszewski — — w jego wykonaniu przesiąkł on zupełnie innymi pierwiastkami twórczymi, otrzymał fakturę specyficznie właściwą temu twórcy, odróżniającą go od wszystkich innych, słowem przeszedł przez filtr potężnej indywidualności Przybyszewskiego.

A znamiona tej indywidualności są przecież powszechnie znane. Uwalnia mię to też od zajmowania się niemi na tem miejscu. Wypada mi jeno dodać, iż nic nowego, żadnego nowego, dotychczas u autora „Złotego runa“ nie napotykanego motywu twórczego, w tem dziele nie znalazłem.

Tensam „seksualizm“, tensam „demonizm“, tensam dowód, iż „kobieta jest urodzoną zbrodniarką“, jak św. Anzelm mówi: „łaźnią szatańską, w której dyabeł dusze mężczyzn kąpie“. W dramacie tym atmosfera ta — czego w innych utworach Przybyszewskiego w tak wysokim stopniu nie było — jest jeszcze bardziej skondenzowaną.

Tam od czasu do czasu sam Przybyszewski czytelnikowi wytchnienia udzielał w formie wplecionej w akcyę dyskusyi politycznej, czy literackiej, opisu przyrody, czy opowiedzenia pewnego wcale z danym tematem nie będącego w związku zdarzenia. Tu ani jednego nie ma chłodniejszego, mniej żarliwego powiewu! Powiedziałbym: Przybyszewski „przeseksualizował“ sztukę, wtłoczył w nią taką moc tego dominującego u niego elementu twórczego, iż przedstawione w „Złotem runie“ postaci zdają się być jednostronnemi, spaczonemi indywiduami, u których zmarniała wszelka inna myśl, a tylko napięcie seksualne, instynkt płódczy tak się rozwielmożnił, iż on jedynie ich umysł zaprząta, dla nich specyalną etykę stwarza, specyalny sposób pojmowania i odczuwania.

Zajmęszy takie stanowisko i tak się zapatrując na postaci, wytworzone wyobraźnią Przybyszewskiego, nie można do nich przykładać zwykłej miary, jaką się odmierza głębię moralnego i etycznego podkładu innych ludzi. One nie są — jak w jednem piśmie chciano — abstrakcyami, fikcyami, ale rzeczywistemi osobami, zupełnie dokładnie i wcale nie alegorycznymi środkami określonemi, osobami, które przeszedłszy przez alembik zapatrywań i pojęć Przybyszewskiego, przepoiły się niemi, i są ich odbiciem na scenie.

A teraz należy wglądnąć w samą treść sztuki. Jak już we wstępie zaznaczyłem, należy sztuka Przybyszewskiego do kategoryi tak zw. Ehebruchsdramen. Kilku mężczyzn i kilka kobiet wchodzi do siebie w taki stosunek, iż gwałcą powszechnie przyjęte i uznane pojęcie o niepokalaności związku małżeńskiego, które to pogwałcenie uważa społeczeństwo za zbrodnię; na tem tle zawiązuje się węzeł dramatyczny — — dalszy rozwój akcyi jest zależnym od talentu autora.

U Przybyszewskiego do tej akcyi zewnętrznej, przydana jest druga, silniejsza, stanowczo silniejsza. I ona to stanowi o wartości dzieła, o działaniu na publiczność. Jest to w e w n ę t r z n a akcya sztuki, ta sieć, w której się cała faktura mieści, która się przewija poprzez każde słowo, każdy ruch wykonywany na scenie, która sztukę różni od fabrykatów dramatycznych, tych bezdusznych ale zato bogatych w obszerną fabułę fotografii rzeczywistości.

A tok tej wewnętrznej akcyi, uzewnętrzniającej się w skutkach faktów osób działających, jest oparty o zasadę, wypowiadaną często w „Złotem runie“, iż c h c i e ć s k i e r o w a ć d r o g ę p r z e z n a c z e n i a, z n a c z y p o w i ę k s z y ć n i e s z c z ę ś c i e. A więc w sztuce Przybyszewskiego osoby działające przez to właśnie, iż rozmijają się ze swem przeznaczeniem co do zaspakajania instynktów, na przełaj prawom i przepisom w społeczeństwie ważnym, sobie rozkoszy przysparzają, potęgują nawałę nieszczęść, jaka się na ich zbolałe dusze stacza.

W takiem to zaczarowanem kole „taniec miłości i śmierci“ wiodą... A jakiś fatalizm ciąży na nich. Nie tylko sami śmierci, czyto fizycznej czy moralnej, w oczy zaglądają; to swe przewinienie przeszczepiają na potomnych, którym ono gdyby jad toczący organizm, życie truje — — —



Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

Nieśmiertelne dzieło Beethovena IX. Symfonię usłyszeliśmy dzięki Towarzystwu muzycznemu po raz pierwszy we Lwowie.

IX. Symfonia pisana już była w czasach najwyższego rozwoju duchowego Beethovena, w prawdziwej i świętej ekstazie twórczej i jest symbolem jakiejś olbrzymiej a rozpętanej potęgi, która chcąc znaleść swój wyraz, nie zadowalnia się już orkiestrą, ale wprowadza po raz pierwszy nowy czynnik, chór bardzo silny, przyczyniający się do żywiołowego rozpętania i wielkiej niebosiężnej mocy harmonii.

IX. Symfonii słucha się z zamkniętemi oczyma, z duszą otwartą szeroko, w gorączce i niespokoju. Wrażenie nie daje się prawie wyrazić; jest to jak gdyby jakiś olbrzym walił młotem potwornym w czaszkę i długo jeszcze pozostaje w głowie szum i zamęt od jego bezlitośnych uderzeń.

Najwyższe objawienie ludzkiego ducha, tytaniczny bunt człowieka na nierozwiązalność wiecznych zagadek świata, poczucie własnej mocy i nieśmiertelności, coś poza formą czasem i przestrzenią, tęsknota do nieskończoności, wzlot do gwiazd i za życia wniebowzięcie.

I czuje się tu, że każdy instrument staje się czemś żyjącem, że myśli i ma własną rolę do spełnienia w wielkiem państwie harmonii. Dość popatrzeć na partyturę orkiestralną.

Myśl, że jeden człowiek zapanował nad tem morzem tonów, że pochwycił wszystkie węzły i prowadzi je potężnie ze świadomością i celem, znajdując zawsze wyjście z chaosu i rozpętania — przeraża nas.

Czujemy się ciśnięci w jakiś wir przepotężny, który miota nami jak kruszyną materyi, nad którą rozpętał się orkan, spadły z wieczności. O nie bronimy się wcale, bo nam rozkosznie w tym zamęcie...

Wykonano symfonię z wielkim nakładem pracy i wszystkiemi siłami, na jakie nas stać było. Jeśli brakło jeszcze ostatniego wyrazu w cieniowaniu, w dynamice i ogólnem brzmieniu instrumentów, to jest to winą niedostatecznych środków, jakiemi rozporządza galicyjskie Towarzystwo muzyczne. W każdym razie należy się wielkie uznanie dyrektorowi p. Sołtysowi za niezmordowaną pracę w pokonaniu mnóstwa trudności przedwstępnych i za pietyzm, w którym wystawił to wielkie dzieło.



„Quo vadis?“ w Paryżu.

Arcydzieło Sienkiewicza w nędznej przeróbce Barreta nie miało powodzenia w Londynie, na jakie ze względu na swoją treść zasługiwało. Tem lepiej, że w przeróbce umiejętnej i artystycznej p. Moreau poprawi sobie opinię w Paryżu, gdzie, jak wiadomo z depesz, wystawił je teatr Porte Saint Martin. W nowej przeróbce scenicznej „Quo vadis?“ składa się z pięciu aktów i dziesięciu obrazów.

„Quo vadis?“ — zaczyna krytykę swą Henryk Fouquier w Figarze — jest jednem z najdzielniejszych dzieł, jakie zdarzyło nam się widzieć na scenie. Jest to dzieło piękne i zasługuje na powodzenie.

Akcya zaczyna się w ogrodzie Aulusów, zkąd wyprowadza Lygię wola Viniciusza, wsparta przez rozkaz Nerona. Obraz drugi dzieje się na Palatynie w czasie zalotów Viniciusza. W obrazie trzecim znajdujemy się u Petronjusza, dokąd przybywa Viniciusz, zasmucony zniknięciem Lygii. Zjawia się Chilo Chilonides, który podejmuje się odszukać ukrytą dziewczynę. Obraz czwarty rozgrywa się w ciasnej uliczce Transtevere, przed szynkiem i domem lekarza Glaukosa, dokąd przybywa Chilo w poszukiwaniu Lygii, a tuż zjawia się i Viniciusz, który w domu Glaukosa odnajduje ukochaną dziewczynę.

Obraz piąty dzieje się nad brzegiem morza w Antium, gdzie przebywa na dwór Nerona w miesiącach letnich. Tu rozgrywają się znane sceny pomiędzy Viniciuszem a Poppeą, tu dojrzewa plan spalenia Rzymu, uplastyczniony z ogromnym nakładem przepychu dekoracyjnego w obrazie szóstym. Następne obrazy zawierają akcyę, zgodną z rozdziałami powieściowemi. Widz znajdzie kolejno Lygję w więzieniu i Lygię w willi Petronjusza, gdzie *magister elegantiarum* umiera z Eunice w czasie uczty, aby się uchronić przed prześladowaniem Nerona.

Wykwintną postać Petronjusza grał znakomicie jeden z najlepszych aktorów paryskich Dumény, budząc podziw uplastycznieniem figury sienkiewiczowskiego epikurejczyka, który nie rozumiał rozkoszy bez sztuki, a zarówno cierpienie jak śmierć umiał uważać „za dźwięk pusty“. Gorszego znalazła przedstawiciela postać Nerona w interpretacyi Duquesna, który w Cezarze zbytnio podkreślał rysy karykatualne. Chilona Chilonidesa grał z powodzeniem Jan Coquelin, Vincjusza zaś Marquet. Lygję odegrała p. Lapacerie, piękna kobieta i inteligentna aktorka, trochę, jak na Lygię, za mało naiwna. Wreszcie jako Eunice podobała się bardzo p. p. Miéris. Scena, gdy drżąca i przejęta uczuciem młoda niewolnica całuje biust Petronjusza przypominała najpiękniejsze obrazy Géroma lub Alma Tademy.



Wiadomości literackie.

P. Władysław Smoleński ogłosił w dwu tomach swoje „Pisma historyczne“.

W „Pismach historycznych“ Smoleńskiego znajdujemy przeważnie rzeczy epizodyczne, wyjaśniające różnorodne sprawy i kwestye krajowe wieku XVIII, ongi w czasopismach poważniejszych drukowane, przedstawione barwnie, zajmująco, z talentem pisarzowi temu właściwym.

Przez lat 25 wiele Smoleński rozpamiętywał, zbierał wiele nieznanych faktów z rękopisów, czasopism, z ksiąg zapomnianych a rzadkich. Prace te znamionują bystry, poważny umysł myśliciela, pióro jędrne, język lapidarny pisarza. Są między obecnie wydanymi fragmentami studya cenne, jak np. „Kuźnica Kołłątaja“, „Towarzystwa naukowego i literackie w Polsce w wieku XVIII“ lub „Żywioły zachowawcze i komisya edukacyjna“ i wiele innych, które, będąc opracowaniami, same z siebie jako źródło do dalszych badań służyć mogą. W siedmnastu obecnie wydanych studyach mieści się bogactwo maryału przez Smoleńskiego opracowane.

W powodzi beletrystyki dzieła naukowe tego zakroju, jak „Pisma“ Rembowskiego i Smoleńskiego, są miarowskazem, że w ciszy swych pracowni, zdala od wrzawy potocznego życia, poważniejsi myśliciele i uczeni nie przestają wnosić do dorobku umysłowego naszych czasów studyów, które przetrwają życie wielu pokoleń.

*

Prof. Henryk Struve napisał niedawno studyum o „Anarchizmie ducha u obcych i u nas“, w którem wybitne miejsce wyznaczył t. zw. „nitzscheanizmowi“.

Wnet potem ukazała się w *Bibliotece warszawskiej* nowa praca prof. Struvego p. t. „Ruch etyczny nowszych czasów, jego dzieje i zasady“, w której dał poznać drugi biegun współczesnej umysłowości, wywołany, jego zdaniem, jako reakcya przeciwko pomienionemu anarchizmowi ducha.

W pracy tej, która właśnie teraz wyszła w odbitce, autor oparł charakterystykę ruchu etycznego głównie na dziełach Giżyckiego i Sheldona, powołuje się też nieraz na Guyau. Ci trzej autorowie, najlepiej wyrażający ruch umysłowy w dziedzinie etyki nowoczesnej (pierwszy w Niemczech, drugi w Anglii, trzeci we Francyi), przyswojeni są po części naszej literaturze. Giżyckiego „Zasady moralności“ przełożył w r. 1884 Wernic, Sheldona „Ruch etyczny“ wyszedł w r. z. nakładem *Przeglądu filozoficznego* w przekładzie J. K. Potockiego, wreszcie Guyau znany jest z dzieła Fouillée'ego, p. t. „Moralność, sztuka i religia“.

*

Der polnische Adel und die demselben inzugetretenen anderständischen Adelsfamilien. General-Verzeichniss von Emilian von Zernicki-Szeliga.

Pod tym tytułem po raz pierwszy ukazał się po niemiecku w Hamburgu przewodnik heraldyczny szlachty polskiej.

Autor (z pochodzenia widocznie polak) od dłuższego czasu zajmuje się, jak świadczy przedmowa, pracami heraldycznemi. Ze spisu źródeł, które podaje, potrafił wydobyć 22.967 rodzin szlacheckich, a więc o 3.000 więcej niż ich zawiera spis szlachty Jerzego hr. Borkowskiego, który mu służył za wzór i który starał się uzupełnić. Spis nazwisk szlacheckich polskich z podaniem herbów i bliższych dat co do pochodzenia i legitymacyi, zwłaszcza w języku niemieckim, stanowi zawsze pożądany nabytek dla heraldyki polskiej, tak ubogiej dotąd w dokładne herbarze.

Dodatnią stroną tego dzieła jest to, że autor wyzyskał także niemieckie i pruskie źródła w spisie powołane, jak np. *Preussische Huldigungsliste (1798), Preussische Militär-Rangliste, Akten des Oberpräsidiums in Danzig* i wielu niemieckich autorów, jak Flanssa, Gramera, Gritznera, Mühlverstädta, Siebmachera i innych, o ile się odnoszą do szlachty polskiej.

*

W szeregu wydawnictw Wł. Okręta ukazały się dwie książki, poświęcone sztuce egzotycznej, na którą dzisiaj zwrócono tak baczną uwagę.

Jedna z nich, pióra Angé de Lassus, nosi tytuł „Sztuka w Egipcie“; przekładu jej dokonała umiejętnie p. St. Sempołowska. Druga o „Sztuce japońskiej“, ze względu na otwartą obecnie w Warszawie wystawę sztuki japońskiej, budzi jeszcze większe zajęcie. Jest to dziełko słynnego znawcy japońszczyzny, Ludwika Gonse'a, przełożone przez Stanisława Bouffała.

Obie książki ozdobione są licznymi rysunkami, dającemi pewne pojęcie o twórczości plastycznej egipcyan i japończyków.

*

Ostatnią swoją powieść historyczną, która obecnie wyszła w wydaniu książkowem, Adam Krechowiecki przypisał „Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w hołdzie“.

Jest to obraz historyczny z czasów Jadwigi i Jagiełły p. t. „*Fiat lux*!“

*

W księgarniach ukazał się nowy utwór Stanisława Przybyszewskiego p. t „Na tym padole płaczu“.

Książkę tę, nader oryginalnie wydaną, zawierającą zaledwie kilkanaście kart dużego formatu, zdobią piękne rysunki Stanisława Wyspiańskiego.

*

Do ciekawszych utworów powieściowych, jakie się ostatnimi czasy ukazały na półkach księgarskich, należy „fantazya powieściowa“ p. t. „Bez duszy“, pióra Cecylii Walewskiej.

Nowy ten utwór utalentowanej autorki ukazał się teraz w osobnem wydaniu, w modnym formacie podłużnej ósemki.

*

Ukazały się w handlu księgarskim wrażenia z podróży Matyldy Serao p. t. „W ziemi Świętej“. Przekładu dokonała p. Antonina Morzkowska.

*

Nakładem *Przeglądu filozoficznego* wyszło świeże dziełko H. Höffdinga (prof. uniw. w Kopenhadze) p. t. „Zasady etyki“.

Przekładu dokonała dr. Zofia Daszyńska.



Bańki mydlane.

Miałem dzisiejszej nocy sen —
Rzecz prosta sen o wiośnie!
A tak uroczy, słodki tak,
Że tęskno w sercu po śnie!
Nie był to bowiem zwykły świt
Ocknienia się natury,
Lecz wiosna „modra“ przyszłych dni
Postępu i kultury.
...Byłem wśród dawnej naszej wsi
(Powtarzam, że to we śnie) —
Przy polnej dróżce rosły w rząd
Jabłonie i czereśnie!
Bydło szwajcarski miało ryk
W konicznym jadło łanie,
Pastuszek siedział w cieniu drzew
I grał na fortepianie!
Niwą — parowy chodził pług,
Za pługiem takaż brona;
Skowronek w górze dzwonił pieśń:
Wyjątki z „Gasparona“!
Jaskółki mknęły z chat do chat
Z podstrzesza na podstrzesze,
Roznosząc z wiejskich stacyi w mig
Gazety i depesze!
Bitym gościńcem jechał chłop
(Z jarmarku oczywista) —
Spojrzałem... wóz na „gumach miał,
A w wozie biegł „derbista“!
Nie śpiewał, jak to czynić zwykł,
Puściwszy koniom wodze,
Ale lekturą skracał czas,
Czytając: „Sad przy drodze!“
Przy wjeździe do wsi drutów sieć
Pod niebem wyzłoconem...
Na beczce „żużli“, grzeje pierś,
Pies szczeka telefonem!
Na drugiej z „kośćmi“ stado kur
Przysiadło z „wylęgaczem“!
Maryśka w progu pędzel ma,
Maluje pejzaż „gwaczem“!
W izbie matula jedwab' tka
Systemem Szczepanika,
W kołysce bąka mały Grześ:
„*Columba est arnica...*“
Na półkach świecą grzbiety ksiąg,
(Gdzie dawniej misek denka);
Na dachu nawet bociek druh
Z metodą kroczył Szenka!

El.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
$4\frac{1}{2}$% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
$4\frac{1}{2}$% Listy Banku krajowego,
4% Listy B nku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 13—52

Kantor wymiany
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego
Banku hipotecznego.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE"

„PRIMUS"

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2
21—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.

Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych, tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)
Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych. 17—44

!Portrety olejne!

Wedle fotografii na płótnie.

!!!Zadziwiająco tanio!!!

a także i na raty.

Wykonywane w kraju.

Jedyna agencya

K. CZAPEK

we Lwowie 9—?
ulica Kochanowskiego 18.

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzace w zakres interesów bankowych. 23—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

22—52

KAROLA BAŁŁABANA następca

Józef Oźmiński, Lwów, Halicka 23.

poleca **HERBATY chińsko-rosyjskie**

ciemno naciągające aromatyczne w najlepszej jakości:

Pół klg. kongo cesarsk. zł. 2·—	Pół klg. imperial . . zł. 5·—
„ „ familijnej . . „ 3·—	„ „ okruchów (wysiewek własn.) „ 1.60
„ „ melange . . „ 4·—	

Kawy bezpośrednio sprowadzane

w woreczkach po $4\frac{3}{4}$ klg. opłacone do każdej stacyi pocztowej.

$4\frac{3}{4}$ klg. Ceylon najlepszy zł. 10·70	$4\frac{3}{4}$ klg. Santos . . . zł. 6·50
„ „ „ gruboziar. „ 10·40	„ „ Ceylon perłow. „ 10·70
„ „ „ b. dobrej „ 10·—	„ „ Mocca arabsk. „ 10·70
„ „ Portorico . . . „ 9·20	„ „ Jawy złotej . „ 10·70
„ „ Karakas arom. b dobrej . . . „ 7·—	☛ **Kawy palone** w najlepszych gatunkach.

3—4

W interesie ludzkości!

Kto chce być zdrowym niech pije

K A W O N

Jest to kawa pozbawiona alkaloidów, a tem samem wszelkich narkotyków, które drażnią nerwy, szkodliwe są na serce i na piersi. Kawon powinni pić osłabieni i rekonwalescenci, dzieci i anemiczni. Przyrządza się go zupełnie tak samo, jak kawę t. j. zaparza w maszynce lub gotuje się z mlekiem lub śmietanką, bez żadnej domieszki cykoryi. Sądzę, że społeczeństwo nasze zechce zrozumieć doniosłość tego wynalazku dla dobra własnego, a jestem przekonany, że kto raz spróbuje Kawonu, kawy pić nie będzie.

Cena pakietu na 12 szklanek 40 hal. (20 ct.)

Uprasza się zwracać baczną uwagę na markę ochronną z serduszkiem.

Dostać go można we wszystkich handlach korzennych i drogueryach.

Zamówienia na prowincyę od 10 paczek wysyła kantor, Lwów, Chorążczyzna 19.

Artur Doliński i sp.

9—12

Nowo otworzona restauracya w pasażu kryształowym

niniejszem ogłasza Sz. P. T. Publiczności, iż lokal otwarty do godziny 1. w nocy przy muzyce pułku 30-go.

Zaopatrzona w doborowe gatunki win, likierów i wódek oraz świeże piwo pilzneńskie.

Kuchnia zadowolnić może najwybredniejszych smakoszy: udowodnić mogę podziękowaniami, jakie otrzymałem za smaczne i punktualne wykonanie.

Z szacunkiem
LEON ORŁOWSKI.

5—52

Kosiarki MC. CORMICKA.
Siewniki
Pługi E. KÜHNEGO.
Nasiona badane przez stacyę Botaniczno-Rolniczą.

Dom dla ziemian we Lwowie

Jagiellońska 15. 3—4

Światowa wystawa. — Paryż 1900.

Odznaczenie na wystawach!

Złoty medal! **Złoty medal!**

DOSKONAŁE

wina dalmatyńskie, chorwackie i styryjskie stołowe, deserowe i kuracyjne

poleca 12—12

ręcząc za ich prawdziwość i naturalność

SKŁAD WIN

Braća Didolić

Lwów, ul. Czarnieckiego l. 3.

Pokój do zebrań towarzyskich!

KANTOR WYMIANY BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 13—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

Główny skład browaru Arcyk. Karola Stefana w Żywcu

przy ulicy Sykstuskiej l. 33.

utrzymuje na składzie piwo cesarskie jasne jak pilzneńskie, eksportowe, porter w oryginalnych beczkach, butelkach i w syfonach 5-cio litrowych.

UWAGA. Porter uznany jako piwo kuracyjne.

Zastępca J. O. Seelenfreund
5—8 ul. Sykstuska l. 33.

H. HUTTER i W. KANNER

Pierwszorzędny skład papieru, przyborów do pisania i rysowania

(en gros & en detail)

„pod złotem piórem“

w Przemyślu

plac na Bramie l. 6.

Największy wybór w kartach widokowych i artystycznych.

2—12

Główny skład rowerów angielskich aparatów fotograficznych i wszelkich przyborów.

Moim Szanownym P. T. odbiorcom udzielam wszelkie reperacye bicyklów **bezpłatnie**, zaliczam tylko dodany materyał. — Wypożycza się rowery.

Systematyczna szkoła jazdy na rowerze.

Dziękuję za dotychczasowe względy.

Z szacunkiem
2—10 **Herman Gottlieb.**

Drukarnia „Dziennika Polskiego“

(Dra Feliksa Woynarowskiego)

we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

przyjmuje do wykonania

wszelkiego rodzaju druki.

Zamówienia tak miejscowe jakoteż zamiejscowe wykonują się w najkrótszym czasie.

Poleca się HANDEL WINA Ludwika Stadtmüllera we Lwowie ul. Krakowska l. 9.

8—12

Wodociągi!

Pokoje kąpielowe, klozety, kanalizacye, oraz wszelkie urządzenia sanitarne wykonuje ze zastosowaniem najnowszych ulepszeń pod fachowem kierownictwem autoryz. instal. W. Reklewskiego, inżyniera z Warszawy.

3—10

HENRYK EBER

Lwów

od 1. Kwietnia 1900 ul. Mickiewicza l. 6., Tel. 669.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5